DGP
Dziennik Gazeta Prawna

Magazyn na Weekend



RYS. PATRYK KOCH, FOT. SHUTTERSTOCK (6), UNSPLASH (2)

Analiza / M**3**

Strachy nie tylko na Lachy

Rosja nie ma dzisiaj wystarczających sił, by zbrojnie podporządkować sobie któreś z państw zachodnich. Ale nie powinniśmy lekceważyć jej agresywnych zamiarów
zauważa Witold Sokała

Gospodarka / M**5**

Zabawa w chowanego

Zachód łata dziury kolejnymi obostrzeniami, a Kreml wymyśla kolejne sztuczki, żeby obejść sankcje. Kto jest bardziej skuteczny w tej grze?
zastanawia się Sebastian Stodolak

DGP.pl DZIENNIK GAZETA PRAWNA NR 182 (6851), 18–20 WRZEŚNIA 2026, CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT), ISSN 2080-6744

eprasa.pl 05b73191d3

Analiza / M**17**

Koszmar w raju (podatkowym)

Siła państwa opiera się dziś na potencjale produkcyjnym, a nie na kapitale należącym do spółek zarejestrowanych w skrzynkach pocztowych
punktuje Piotr Wójcik

Kultura / M**24**

Postęp, który zabierze wszystko

Zbawienie przez automatyzację: nic już nie trzeba będzie robić, manna sama spadnie z nieba. Kto temu zaprzecza, jest wstecznikiem, zwolennikiem irracjonalizmu, komunistą. Jest luddystą
pisze Piotr Kofta



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Łęcka z milionem, Wokulski niebinarny

Jan Wróbel

Aż się boję pójść na „Lalkę". A to dlatego, że obejrzałem „Folwark zwierzęcy". Jakby ktoś nie znał oryginalnej fabuły doskonałej i gorzkiej humoreski George'a Orwella... to nawet dla niego lepiej.

Początek „Folwarku" może nieco razić – animacja rodzi skojarzenia z kreską dla dzieci. To jednak można przeboleć, bo w końcu nie narodził się jeszcze ktoś, kto utrafiłby we wszystkie gusta estetyczne. Rozbudowana końcówka filmu, zupełnie już nieoparta na wątkach z Orwella, ale też będąca niejako dogrywką wobec pierwotnej akcji, jest nieco banalna. Można wykazać wyrozumiałość – w końcu, skoro to dokrętka, niech fantazjują. Niejako w nagrodę za wyrozumiałość dostajemy wątek, którego również nie było u Orwella, czyli miłosnej relacji między prosiakiem a młodą i piękną świnką. I niech tam sobie będzie, zwłaszcza że para zachowuje godną podziwu wstrzemięźliwość.

Kłopot jest właśnie z tym, co u Orwella jest, a co twórcy postarali się unowocześnić. W oryginalnym „Folwarku zwierzęcym" zwierzęta buntują się, stają się wolne i wpadają w pułapkę utopii. Wszystkie zwierzęta są równe, ale jak wiadomo, świnie stały się równiejsze – i bezwzględne wobec towarzyszy niedawnej walki. Niby bajka wspaniałego Anglika, radykalnego socjalisty, była satyrą na bolszewików, Stalina i ZSRS, tak idealizowany przez zachodnią lewicę. Orwellowi udała się demaskacja stalinizmu właśnie dlatego, że ubrał opowieść w szatę bajki Ezopa.

Najnowszy „Folwark zwierzęcy" w ogóle pominął powód, dla którego powstał oryginał. Prawdziwym wrogiem wyzwolonej farmy jest konsumpcjonizm, zła korporacja, zakupoholizm i prymitywizm populistów. Po jaką cholerę tej historii potrzebny Orwell? Przestrzegał świat przed totalitaryzmem tworzonym w kostiumie wolności. Kiedy pisał „Folwark zwierzęcy", kłuł taką interpretacją swoich naiwnych kolegów z lewicy. Twórcy nowego „Folwarku..." zrobili film o czymś innym. Na dodatek zupełnie oczywistym. Ot, korporacje chcą zarabiać, a ekologia jest bardzo ważna. Jeżeli autorzy nowej adaptacji „Lalki" poszliby tropem wskrzesicieli Orwella, to Izabela Łęcka zarobi pierwszy milion rubli przed trzydziestką, a Wokulski będzie przeżywał rozterki w sprawie niebinarności. ©℗



FOT. KHALED ABDULLAH/REUTERS/FORUM

Zatoka Perska / M**8**

Płacz będzie wielki

Zbombardowany saudyjski ropociąg to przygrywka. Szyiccy rebelianci z ruchu Huti chcą kontrolować Bramę Łez niczym Irańczycy cieśninę Ormuz
relacjonuje Mariusz Janik

DGP Więcej niż gazeta: wideo, podcasty, analizy na DGP.pl

DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny: Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkowicz

Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn:
Anna Masłoń (kierownik),
Piotr Czarnowski, Emilia Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie: Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska,
Marcin Mroziuk (tygodnik PiK),
Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja oraz Kadry i Płace:
Agata Eichler,
Joanna Pieńczykowska-Rybaczyk (tygodnik SiA), Leszek Jaworski (tygodniki KiP i UiŚ)

Firma i Prawo oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz, Izabela Rakowska-Boroń (tygodnik FiP)

Projekt graficzny:
Marek Knap,
Adam Głowacki

Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum Reklamy:
Marcin Ośmiałowski

Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wieczorkiewicz

Wiceprezes Zarządu:
Marcin Krawczak

Biuro Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 519 061 309

Druk:
Seregni Printing Group S.A.

INFOR

Wydawca Dziennika Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Zamówienia na prenumeratę przyjmują:
Kolporter,
Garmond Press,
GLM, AS Press
oraz urzędy pocztowe

Informacje o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych zarówno w formie elektronicznej, jak i papierowej bez zgody wydawcy jest zabronione.

Materiały oznaczane jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykle, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały na zlecenie, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwą wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. – Prawo prasowe.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich; ℗ – znak odpłatności; ©℗ – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

eprasa.pl 05b73191d3

Strachy nie tylko na Lachy



RYS. PATRYK KOCH, FOT. SHUTTERSTOCK (5), UNSPLASH (2)

Rosja nie ma dzisiaj wystarczających sił, by zbrojnie podporządkować sobie któreś z państw zachodnich. Ale to nie znaczy, że powinniśmy lekceważyć jej agresywne zamiary – i dotyczące ich narracje

Witold

Sokała

W ostatnich dniach na czołówki wielu mediów trafiły komunikaty o możliwym ataku Rosji, wymierzonym w jedno z państw NATO, który miałby wykraczać poza dotychczasową praktykę. Czyli już nie tylko walka informacyjna, nie tylko pojedyncze akty dywersji przeciwko infrastrukturze krytycznej lub zamachy na osoby z czarnej listy Kremla, nie „przypadkowe" wtargnięcia w przestrzeń powietrzną – ale coś znacznie poważniejszego. Otwarty atak przy użyciu rakiet, lotnictwa albo dronów, może jakaś forma operacji lądowej, np. w postaci uderzenia na Polskę i Litwę z terytorium Białorusi albo „bratniej pomocy" dla rosyjskojęzycznej mniejszości na Łotwie? Może nawet próba eskalacji nuklearnej? Spekulacjom sprzyjały kontrolowane przecieki ze źródeł wywiadowczych, także amerykańskich, ujawniane przez polityków. Sprzyjało im również zauważalne wzmożenie retoryczne ze strony rosyjskiej, któremu towarzyszyły kolejne incydenty, w tym zapewne nieprzypadkowy atak na pociąg tuż przy polskiej granicy.

To wszystko razem wzbudziło zrozumiały niepokój opinii publicznej – nawet ludzie do tej pory z dystansem obserwujący zmienne koleje wojny w Ukrainie zaczęli dopytywać się znajomych specjalistów, czy grozi nam rosyjska agresja, a jeśli tak, to w jakiej formie i „gdzie będzie najbardziej niebezpiecznie". Eksperci mają w takich sytuacjach pewien problem z odpowiedzią, bo niby nie wypada im siać paniki, lecz elementem ich profesjonalnej edukacji jest zasada, by dmuchać nawet na zimne. Ponadto nie lubią zgadywać – wolą prognozować. Ta czynność wymaga natomiast rzetelnej analizy dużej liczby zmiennych czynników, zazwyczaj na podstawie o mocno niepełnych danych co do realnych zamiarów i potencjałów aktorów wydarzeń. Odruchowa odpowiedź „to zależy" nie satysfakcjonuje zaś nikogo z pytających.

Tymczasem prawda jest taka, że pewnie nawet Władimir Putin wciąż jeszcze nie wie, czy wspomniany atak rzeczywiście nastąpi, a tym bardziej gdzie, jak i kiedy. Jego sztabowcy oczywiście nieustannie piszą i przygotowują do wdrożenia przeróżne plany – taka ich rola – ale polityczna decyzja o realizacji konkretnego scenariusza to coś zupełnie innego. Ewentualne naciśnięcie spustu to wypadkowa ▷

eprasa.pl 05b73191d3

właśnie tych bardzo różnych czynników – wewnętrznych i zewnętrznych, obiektywnych i subiektywnych. Także zaobserwowanej reakcji na wypuszczane balony próbne, czyli wspomniane testowe incydenty i narracje.

Potęga kłamstwa

Do rosyjskich pogróżek i blefów właściwie powinniśmy już przywyknąć. Moskwa raczy nas nimi regularnie od momentu, gdy jej plany wobec Ukrainy zawaliły się w gruzy. Zamiast spektakularnego sukcesu specjalnej operacji wojskowej Putin zafundował bowiem Rosji gigantyczne straty ludzkie, coraz dotkliwsze (choć wciąż niedoskonałe) sankcje międzynarodowe, utratę kluczowych rynków energetycznych, poszerzenie NATO o Finlandię i Szwecję, coraz poważniejsze problemy budżetowe, degradację gospodarki cywilnej, spadek autorytetu i wpływów Moskwy na obszarze postradzieckim oraz rosnące uzależnienie kraju od Chin. Ukraina nie upadła ani nie rzuciła się w ramiona Wielkorusów, wręcz przeciwnie. Zachód – pomimo wolt, wahań i problemów – wykazał jednak determinację wystarczającą, by żywić i wspierać ukraiński opór przez kolejne lata. Podjął też warte docenienia wysiłki, by zwiększyć swoje własne zdolności powstrzymywania rosyjskiej agresji.

W normalnym państwie taki kosztowny, strategiczny blamaż spowodowałby upadek nieudolnego rządu. A także próbę ratowania twarzy oraz resztek zasobów i szans cywilizacyjnych przez negocjacje. Ale Rosja nie jest normalnym państwem. Jej elity polityczne nie kierują się logiką, do której przywykł Zachód. Putin wie, że okazanie słabości i przyznanie się do błędów byłoby dla niego wyrokiem śmierci – być może w znaczeniu nie tylko przenośnym. Dlatego wciąż szuka sposobów, by wojnę de facto przegraną na płaszczyźnie militarnej wygrać jakoś inaczej.

Straszenie eskalacją jest tu jednym z dość oczywistych instrumentów. Moskwa wyraźnie zakłada, że ten narracyjny kij w połączeniu z odpowiednio dawkowaną marchewką, czyli wizjami powrotu do obustronnie korzystnej polityki „business as usual", przy odrobinie szczęścia może pomóc zmniejszyć lub nawet wyzerować zachodnie wsparcie dla Ukrainy i oddać ją wreszcie w łapy rosyjskiego niedźwiedzia.

Optymiści co prawda twierdzą, że te wszystkie pohukiwania płynące cyklicznie z okolic Kremla najprawdopodobniej są tylko dość rozpaczliwą próbą odsuwania w czasie nieuniknionego już krachu Putina i jego agresywnej polityki. Że w dużym stopniu służą tylko samozadowoleniu gospodarzy Kremla, uzasadnieniu sensu własnego istnienia przez licznych dworaków i oficerów służb, a także leczeniu frustracji milionów Rosjan wpatrzonych w telewizory. Niestety, nawet jeśli do rosyjskiej retoryki i towarzyszących jej prowokacji podchodzimy z należnym dystansem, warto odnotować, że są na Zachodzie ludzie, którzy coraz chętniej tańczą do muzyki granej im przez kremlowską orkiestrę. I że jest ich ostatnio coraz więcej.

Widać to gołym okiem – choćby po wzrastającej popularności lub nawet wynikach wyborczych partii prorosyjskich, czasami maskujących swoje stanowisko „troską o interes narodowy", ale w gruncie rzeczy ochoczo realizujących strategiczne interesy Kremla. Może to przybierać formę podkopywania zachodnich instytucji integracyjnych, takich jak UE czy NATO, które są co prawda mocno niedoskonałe, ale ich demontaż zamiast reformowania przybliża rosyjską dominację nad poszczególnymi, względnie słabymi i rozproszonymi państwami europejskimi. I to nie tylko tymi granicznymi. Równie dobrze może to być także nawoływanie do pozbycia się z Europy amerykańskiej obecności wojskowej, wzmacnianie historycznych resentymentów między sąsiadami albo rozbudzanie naiwnych nadziei, że kooperacja z Rosją rozwiąże kluczowe problemy gospodarcze. Co rzadziej dostrzegane, Moskwie służą także partie pozornie i deklaratywnie antyputinowskie, które jednak dążą do pogłębienia starych patologii w polityce europejskiej, takich jak niekontrolowane migracje, pobłażliwość wobec wzrostu wpływów islamistycznych, czy też nieefektywność energetyczna.

Paradoks Putina

Niektórzy przewrotnie utrzymują, że sukcesy takich polityków – wśród których zapewne są płatni agenci, ale też pożyteczni idioci oraz myślący bardzo krótkoterminowo skrajni cynicy – oddalają wizję rosyjskiego ataku wojskowego na dużą skalę. Z prostego powodu. Po co Kreml ma drogo płacić za coś, co za chwilę wpadnie mu w ręce niemal za darmo? Ewentualna operacja wojskowa oznacza przecież nie tylko koszty bezpośrednie, straty w ludziach i sprzęcie, zużycie deficytowych paliw i amunicji, lecz także niebagatelne ryzyko odwetu. Jeśli nawet nie militarnego – czego wykluczyć w swoich rachubach Rosjanie całkiem nie mogą – to przynajmniej drastycznego zaostrzenia sankcji – do poziomu, który wreszcie ostatecznie zepchnie gospodarkę agresora na skraj zapaści. Tak czy inaczej, mogłoby zaboleć. Tymczasem właściwy cel, w postaci osamotnienia Ukrainy, dekompozycji UE i NATO, zainstalowania w kilku ważnych stolicach europejskich rządów otwartych na kremlowskie postulaty i empatycznych wobec rosyjskich fobii (jeszcze bardziej niż niegdyś Jacques Chirac, Angela Merkel i Gerhard Schroeder razem wzięci), przy odrobinie cierpliwości może zostać osiągnięty metodami względnie pokojowymi, za pomocą dość tanich i doszlifowanych przez dekady instrumentów. Rachunek wydaje się więc prosty.

Rzecz w tym, że obiektywna kalkulacja wyglądała bardzo podobnie przed 24 lutego 2022 r. Wielu specjalistów utrzymywało wtedy niemal do końca (niżej podpisany zresztą także), że Putin blefuje wobec Ukrainy, bo pełnoskalowy atak przyniesie Rosji znacznie więcej strat niż korzyści. Bo Ukraina jest znacznie silniejsza niż podczas aneksji Krymu w 2014 r., bo armia rosyjska wcale nie jest taka silna, jak się ją postrzega, bo Zachód nie jest już taki bezradny i skłonny do dalszych ustępstw jak kilka lat wcześniej. Okazało się, że w kategoriach obiektywnych mieliśmy rację, lecz Putin, kierując się własną logiką (a także zapewne mocno zafałszowanymi danymi od swoich służb), subiektywnie uznał, że i tak warto uderzyć. I wdepnął w bagno, ale co z tego? My wszyscy wraz z nim.

Kluczowe jest więc teraz pytanie: czy kremlowski satrapa uczy się na błędach? Czy rosyjski system analityczny i decyzyjny został udoskonalony, a rachunek ryzyk i szans, strat i zysków, przynajmniej zbliżony do wykonywanego na Zachodzie, będzie miał tym razem zastosowanie na Kremlu? Odpowiedź nie jest łatwa ani jednoznaczna. Przebieg konfliktu w Ukrainie sygnalizuje, że Rosjanie potrafią w niektórych sferach elastycznie reagować na bodźce, choć czasami z opóźnieniem. Ewidentnie w służbach specjalnych także rozliczono, przynajmniej w pewnym stopniu, winnych wpadek z 2022 r. Ale na drugiej szali jest mentalność oblężonej twierdzy, potrzeba szybkiego odwrócenia uwagi od narastających problemów wewnętrznych przez spektakularny sukces (nawet jeśli na razie czysto hipotetyczny i mocno niepewny), no i widoczna chęć stworzenia sobie alibi – na zasadzie „nawet jeśli przegrywamy, to przecież z całą potęgą NATO, a nie tylko z tą pogardzaną Ukrainą".

Jakie wobec tego jest prawdopodobieństwo, że Putin – zamiast spokojnie czekać na wyniki wyborów w Polsce, w Niemczech czy we Francji, jednocześnie konsekwentnie demolując ukraińską infrastrukturę na zapleczu frontu i prowadząc swoje zwykłe gierki z Donaldem Trumpem – jednak może chcieć zaryzykować, podbić stawkę i uderzyć mocniej w któreś z państw NATO? Realistycznie: fifty-fifty. Ale chęci a możliwości – to dwie różne sprawy.

Siły na zamiary

Pamiętajmy, że Kremlowi pozostały już co prawda nieliczne, lecz wciąż istotne atuty. Po pierwsze: broń nuklearna. Po drugie: wciąż profesjonalna dyplomacja i ofensywne służby specjalne. I po trzecie: sięgająca korzeniami jeszcze czasów ZSRR, a potem rozbudowywana latami sieć powiązań agenturalnych, mafijnych i biznesowych, oplatająca kluczowe instytucje Zachodu. Teraz, gdy armia rosyjska dość beznadziejnie utknęła w ukraińskich stepach, ów kompleks stał się naturalnym narzędziem ratunkowym dla Kremla. Ciągłe straszenie hipotetyczną eskalacją przy jednoczesnym reklamowaniu równie hipotetycznych korzyści płynących z ustępstw, samo w sobie może pomóc Putinowi urwać się ze stryczka.

Gorzej wyglądają realne potencjały Rosji, gdy analizujemy jej zdolność do poważnej operacji zaczepnej na terytorium NATO. Lwia część sił lądowych jest obecnie zaangażowana przeciwko Ukrainie; wycofanie części z nich jest teoretycznie możliwe i wcale niekoniecznie musiałoby skutkować jakąś spektakularną ofensywą ukraińską, ale trudno to zrobić niepostrzeżenie. Owszem, wyobrażalne jest przerzucenie paru brygad, plus ewentualne użycie jednostek białoruskich (mimo trwającej gry reżimu Łukaszenki z Amerykanami), ale i tak bardziej prawdopodobnym scenariuszem wydaje się wykorzystanie do antynatowskiej prowokacji wyłącznie sił ataku powietrznego, względnie w kombinacji z punktowymi uderzeniami sił specjalnych. Taka operacja miałaby zapewne duże znaczenie psychologiczne, lecz nadal mieściłaby się faktycznie w kategorii blefu, wymuszenia ustępstw politycznych, a nie rzeczywistego oddziaływania militarnego czy tym bardziej trwałej okupacji. Nawet

> Putin wie, że okazanie słabości i przyznanie się do błędów byłoby dla niego wyrokiem śmierci – być może w znaczeniu nie tylko przenośnym. Dlatego wciąż szuka sposobów, by wojnę de facto przegraną na płaszczyźnie militarnej wygrać jakoś inaczej

> Długofalowo prawdopodobieństwo rosyjskiej agresji przeciwko NATO będzie rosło. Tym szybciej, im Zachód będzie słabszy

eprasa.pl 05b73191d3

otwarcie drugiego frontu na tak dogodnym dla Rosjan (a trudnym dla NATO) teatrze operacyjnym, jak np. Łotwa – z czysto wojskowego punktu widzenia – niesie ze sobą dla Moskwy więcej strat i problemów niż korzyści.

Przynajmniej dopóki trwa wojna w Ukrainie. Gdyby Kijów został zmuszony do kapitulacji, to co innego. Ale na to się mimo wszystko nie zanosi, podobnie jak na podpisanie układu pokojowego na warunkach satysfakcjonujących jednocześnie dla obu stron. W krótkiej perspektywie poważnym zagrożeniem dla nas mógłby więc być tylko rosyjski atak z użyciem broni masowego rażenia, ale na to z kolei ewidentnie nie godzi się Pekin. Minister spraw zagranicznych Wang Yi otwarcie sygnalizował to parę razy, czemu zresztą trudno się dziwić. Po pierwsze dlatego, że pragmatyczni Chińczycy (w przeciwieństwie do kierujących się własną, specyficzną logiką Rosjan) wolą z Europą handlować, zarabiać pieniądze i jednocześnie bez hałasu poszerzać swoje wpływy polityczne, zamiast demolować terytorium kontrahenta, a także własne korytarze logistyczne. Po drugie zaś dlatego, że na razie nie jest w interesie ChRL, by to broń nuklearna stanowiła główny element siły i sprawczości w polityce międzynarodowej. Wolą w tej roli inne instrumenty, te, w których to oni mają przewagę, a nie Rosja i USA.

Chińczycy grają w to, w co wygrywają – to zaś oznacza, że w krótkiej i średniej perspektywie czasowej ich strategia wobec wojny Rosji z Ukrainą oraz rosyjskiej polityki względem Zachodu powinna pozostać z grubsza niezmienna. Czyli postarają się nie dopuścić, by Kreml spektakularnie przegrał, od czasu do czasu zaaplikują mu nawet solidną kroplówkę. Czas pracuje tu na ich korzyść, bo rosną przy każdej takiej okazji ich wpływy polityczne i gospodarcze w Rosji. Ale też raczej nie dopuszczą lekkomyślnie do eskalacji przemocy, która mogłaby naruszyć ich interesy ekonomiczne.

Czynnik czasu

To brzmiałoby nawet optymistycznie, gdyby nie możliwa ewolucja uwarunkowań. Opór ChRL wobec stosowania broni masowego rażenia (i w ogóle przemocy militarnej) zapewne stopniowo zmaleje wraz ze wzrostem jej własnego potencjału. A także wraz z dalszym kompromitowaniem się Stanów Zjednoczonych w roli wiarygodnego sojusznika, nie tylko w Europie i na Bliskim Wschodzie, ale przede wszystkim w Azji Południowej i Wschodniej. Pekin potrzebuje też czasu na uporządkowanie sytuacji wewnętrznej – zarówno na przebudowę struktur dowodzenia i nadzoru nad siłami zbrojnymi po ciągu afer korupcyjnych skutkujących tajemniczymi dymisjami, jak i na uporanie się z symptomami kryzysu ekonomicznego oraz na uzyskanie wyraźnej przewagi w obszarze kilku kluczowych technologii.

Pierwsze zapewne uczyni stosunkowo szybko, drugie się raczej nie uda, trzecie jest dosyć prawdopodobne. Takie wnioski wydają się płynąć z tonu znanych wystąpień na forum Xiangshan, czyli głównej chińskiej imprezy strategicznej, na której spotykali się w tym tygodniu ważni decydenci oraz międzynarodowe grono ekspertów. Więcej w tych kwestiach będzie można pewnie oszacować za jakiś czas, gdy poznamy efekty planowanej niebawem wizyty Xi Jinpinga w Stanach Zjednoczonych, a także spodziewanej w dalszej perspektywie przebudowy najwyższych władz partyjnych.

Jeśli prognoza się sprawdzi, opisany miks trendów oznacza możliwy, acz raczej stopniowy wzrost skłonności Chin do poszukiwania rozwiązań siłowych, przynajmniej we własnym regionie. A wtedy zwasalizowana Rosja okaże się dla Pekinu bardzo użytecznym dywersantem, wiążącym na europejskim teatrze działań znaczną część potencjału i uwagi zarówno USA, jak i kilku ważnych państw NATO. Oczywiście, za wysoką cenę krwi natowskiej, lecz także rosyjskiej. Tyle że w takim scenariuszu – gdy sponsorem i beneficjentem ataku będzie Pekin – koszty ponoszone przez Rosję staną się jeszcze mniej istotne niż obecnie, gdy decyzje podejmuje Putin w interesie własnym oraz swojej kliki.

To zaś oznacza, że długofalowo prawdopodobieństwo rosyjskiej agresji przeciwko NATO będzie rosło. Tym szybciej, im Zachód będzie słabszy. Opłaca się nam wobec tego nadal inwestować w Ukrainę, bo to relatywnie tania i efektywna tarcza przeciwko rosyjskim zakusom. Warto też uszanować wypowiedzi wielu naszych polityków, którzy to wschodnie ryzyko podkreślają – nawet jeśli w tle są zrozumiałe podejrzenia o promowanie interesów przemysłu zbrojeniowego poszczególnych państw, czy to USA, czy np. Niemiec i Francji. „Si vis pacem, para bellum" – ta rzymska maksyma Wegecjusza nic nie traci ze swej aktualności. Chodzi o to, by maksymalizować potencjalną cenę za agresję, lecz także tworzyć realne możliwości projekcji siły poza Europą. Żeby mieć zdolność ukarania nie tylko bezpośredniego wykonawcy, lecz także zleceniodawcy. Wtedy i po jego stronie chęć wykorzystania narzędzi militarnych może znacząco zmaleć.

Plan niezwykle ambitny, i raczej nie do zrealizowania bez strategicznej solidarności transatlantyckiej. Także bez zwiększenia politycznej spójności naszych społeczeństw oraz ich odporności na wojnę informacyjną. O czym – niestety – wielu polityków zachodnich po obu stronach Atlantyku wciąż wydaje się nie myśleć. ©℗


FOT. WOJTEK GÓRSKI

Witold
Sokała

wykładowca Instytutu Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, przewodniczący Rady i analityk Fundacji Po.Int, publicysta DGP

Zabawa w chowanego

Raz, dwa, trzy, Zachód patrzy. Gdzie tym razem w globalnych łańcuchach dostaw ukrywa się Rosja?

Sebastian
Stodolak

„Na wakacje jedź do Polski – twój samochód już tam jest". Pamiętacie ten żart na temat Polaków, który rozplenił się w latach 90. w Niemczech? Cóż, miał swoje podstawy, bo wiele skradzionych za Odrą aut lądowało w naszym kraju. Dzisiaj ten kawał – lecz z Rosją w roli głównej – mogą opowiadać sobie Kanadyjczycy.

To właśnie w Rosji samochody skradzione w Kanadzie – w ostatnich czterech latach kraj ten ma do czynienia z epidemią kradzieży – lądują najczęściej. Jak podaje w wydaniu z 27 sierpnia 2026 r. „The New York Times", „Interpol otrzymał od lutego 2024 r. do lipca 2026 r. 4798 zgłoszeń dotyczących odnalezionych w Rosji skradzionych pojazdów z Kanady". Wprowadzenie uzasadnionego agresją na Ukrainę zakazu eksportu aut na rosyjski rynek doprowadziło do powstania sieci przestępczych, która skradzione samochody ukrywa w kontenerach i wysyła do Federacji, często przez Bliski Wschód. „Dużym zainteresowaniem cieszą się pick-upy, takie jak Dodge Ram, Toyota Tundra i Ford F-150" – piszą Jane Bradley i Michael Schwirtz.

Problem w tym, że mechanizm, w którym Zachód nakłada na Rosję sankcje, a kraj ten uczy się je obchodzić, powtarza się przy okazji importu i eksportu właściwie w każdej kategorii towarów. Zachód łata dziury kolejnymi obostrzeniami, a Kreml wymyśla kolejne sztuczki. Czy ta zabawa w chowanego ma w ogóle sens?

Techniki przemytu

Ma, bo – o czym później – to Zachód Rosję mimo wszystko ogrywa, a nie odwrotnie. Zaś sama w sobie historia unikania sankcji jest fascynująca. Udowadnia starą prawdę, że jeśli na towar jest popyt, to prędzej czy później ktoś go kupi. Pytanie: kto, kiedy i za ile? W przypadku krajów objętych sankcjami to te trzy zmienne decydują o sile oddziaływania obostrzeń. Weźmy sankcje nakładane na ropę – najcenniejszy surowiec, którego sprzedaż w dużym stopniu pozwala Putinowi finansować wojnę.

Do tej pory odbyło się już kilka aktów tragikomedii, w których Zachód atakuje inny element łańcucha handlowego, zaś Rosja odbudowuje go gdzie indziej. Sankcje sprawiły, że od grudnia 2022 r. banki, armatorzy i ubezpieczyciele mogli obsługiwać legalnie rosyjskie ładunki ropy wyłącznie, jeśli ta była sprzedawana za cenę poniżej 60 dol. za baryłkę. Wystarczyło odpowiednie poświadczenie. Rosjanie zaczęli więc poświadczenia fałszować rozliczenia, a także nimi manipulować. Rzeczywista cena wynosiła np. 80 dol., ale na fakturze widniało 55 dol. Różnicę przenoszono do innych pozycji, np. na usługi konsultingowe czy zarządzanie ryzykiem. Równolegle ruszył skup starych tankowców, które miały się stać częścią floty cieni.

Z czasem początkowy sukces sankcji – obniżenie cen rosyjskiej ropy urals względem brenta o 30 dol. za baryłkę – stawał się coraz mniej spektakularny: już jesienią 2023 r. dyskonto to spadło do 16 dol. W rezultacie Zachód – wybaczcie, że piszę tak ogólnie, ale dla tego tekstu nie ma znaczenia, czy były to akurat USA czy UE – zaczął wpisywać na listy sankcyjne firmy dopuszczające się nielegalnej współpracy z Rosją. Tyle że Kreml umożliwiał im szybkie rejestrowanie się pod inną nazwą i egzotyczną banderą w raju podatkowym. Ten sam statek dostawał nowego-starego właściciela na papierze, a ładunek płynął dalej.

W ten sposób mysz uciekała przed kotem do stycznia 2025 r., gdy ogłoszono sankcje przeciwko 183 statkom floty cieni, zakazujące im całkowicie korzystania z zachodnich usług (liczba jednostek objętych zakazami wynosi dzisiaj ponad 600). Sankcjonowano konkretne jednostki po unikatowych numerach IMO (Międzynarodowej Organizacji Morskiej), więc rosyjskie sztuczki z przerejestrowaniem już tak dobrze nie działały.

– Nie może być! – drapano się zapewne po głowie na Kremlu. Postawiono w końcu na mataczenie. By uniknąć wykrycia statku, na kluczowych odcinkach trasy wyłączano np. system AIS służący do automatycznej identyfikacji i nadający pozycję, kurs czy prędkość w czasie rzeczywistym, a czasami sygnał ▷

eprasa.pl 05b73191d3

ten fałszowano, nadając błędną pozycję. Podrabiano też certyfikaty ubezpieczeń albo dokonywano przeładunków na pełnym morzu, dzięki czemu ładunek znikał z sankcjonowanego statku i pojawiał się na innym, już czystym. Przede wszystkim jednak konsekwentnie rozbudowywano flotę cieni w taki sposób, żeby nie wymagała zachodniego ubezpieczenia ani żadnych innych usług frachtowych.

Szacunki liczebności tej floty są szerokie: od 600 do nawet 3 tys. jednostek. Według Russian Shadow Fleet Tracker, prowadzonego przez KSE Institute, odpowiadała ona w lutym 2026 r. za 57,2 proc. wolumenu rosyjskiego morskiego eksportu ropy surowej i 26,5 proc. eksportu produktów naftowych. Zachód uznał więc w końcu, że zamiast w transport surowca uderzy bezpośrednio w jego producenta.

W październiku 2025 r. objął sankcjami Rosnieft i Łukoil (oba koncerny odpowiadają za ok. 55 proc. rosyjskiego wydobycia ropy i ok. 25 proc. całości wpływów budżetowych Rosji). Cena ropy urals spadła wtedy do 34 dol., a dyskonto wobec ropy brent podwoiło się. Co Moskwa na to? Zaczęła korzystać z usług pośredników. To, co wcześniej sprzedawał Rosnieft, zaczęło być sprzedawane przez nieznane wcześniej podmioty. Jednocześnie zaczęto zwiększać udział rozliczeń transakcji w juanie i rupiach, żeby uniezależnić się od dolara.

Zachód nie miał wyjścia. Zdecydował się zakazać wwozu do siebie wszystkich produktów ropopochodnych, które mają rosyjskie pochodzenie, nawet jeśli po drodze były one wielokrotnie przetwarzane w innych państwach. Sankcje te wprowadzono w styczniu 2026 r., co zmusiło Rosję do poszukiwania wsparcia ze strony państw trzecich.



Klub oportunistów

I tu czas na wspomnienia. Trzy lata temu uczestniczyłem w międzynarodowej konferencji w Baku. Czterdziestu ekspertów, dziennikarzy i dyplomatów posadzono przy okrągłym stole. Gospodarzem był İlham Aliyev, prezydent Azerbejdżanu. Zapytany – a był to moment podwyższonego napięcia między jego krajem a Armenią – o rolę rosyjskich partnerów w tym konflikcie, zasugerował, że Kreml go nieustannie na różne sposoby podgrzewa. Niedługo później spotkał się z Putinem i jak gdyby nigdy nic wymieniał z nim serdeczności, rozmawiając o relacjach gospodarczych. Do czego zmierzam? Do tego, że zdolność Rosji w obchodzeniu zachodnich sankcji byłaby znacznie mniejsza, gdyby nie współsprawcy: kraje, które z rozmaitych przyczyn wciąż chcą z nią współpracować. Do tej grupy obok Azerbejdżanu należą: Armenia, Gruzja, Indie, Turcja, Kirgistan i Kazachstan.

Żadne z tych państw nie robi tego z miłości do Rosji, a raczej dbając o własną rację stanu. Czasami też pomoc ta nie jest zamierzona i dzieje się na dole gospodarki. Tak było w przypadku Armenii. Jak podaje serwis Caucasus Watch, wartość eksportu komputerów do Rosji skoczyła tam z 1,6 mln dol. w 2021 r. do 70 mln dol. w 2022 r., a telefonów komórkowych ze 188 tys. dol. do 251 mln dol. Niestety, tym samym kanałem, którym do Rosji płynęły komórki, płynęły również układy scalone. To dlatego rosyjskie drony zestrzeliwane nad Ukrainą są naszpikowane komponentami firm Texas Instruments i Analog Devices czy częściami produkowanymi w Niemczech, Japonii, Szwajcarii albo na Tajwanie.

Armenii jednak trzeba przyznać, że stoi tu po stronie Zachodu i chce ten reeksport, zwłaszcza w zakresie technologii dual use, tych o podwójnym zastosowaniu (cywilnym i wojskowym), ograniczać. Przeciwne intencje wykazuje Kirgistan, który stał się dla Rosji ważnym hubem handlowym. Import towarów typu dual use z Unii do Kirgistanu wzrósł o 800 proc. wobec poziomu sprzed 2022 r., a eksport tych samych towarów do Rosji o 1,2 tys. proc. Wiele z tych produktów miało zastosowanie w obróbce metalu, czyli np. w wytaczaniu luf, oraz w aparaturze telekomunikacyjnej, czyli w produkcji systemów łączności i naprowadzania. Kirgistan stał się także wielkim importerem i eksporterem aut. Jak wskazuje serwis The European Correspondent, w samych tylko pierwszych ośmiu miesiącach 2025 r. wyeksportował – głównie do Rosji – aż 23,6 tys. aut o wartości ponad 884 mln dol. Na pomaganiu Kremlowi kraj ten w widoczny sposób korzysta: od 2022 r. jego PKB rośnie w tempie od 9 do 11,5 proc. rocznie. Możliwe, że te piękne dni się skończą, bo w kwietniu 2026 r. uruchomiono narzędzia antyobejściowe wycelowane dokładnie w Biszkek.

Jeśli chodzi o wspomniany Azerbejdżan, to ten pomaga Rosji głównie w handlu ropą. Jego tankowce regularnie wożą rosyjską ropę z Primorska do tureckiego Nemrut, będącego bramą do rafinerii STAR, współwłasności azerskiego rządu. Przykładowo objęty w maju 2025 r. sankcjami tankowiec Zangazur, należący do państwowej Azerbaijan Caspian Shipping Company, zawinął w ciągu roku 11 razy do Primorska i sześć razy do Nemrutu. Jak wyliczyła organizacja Global Witness, w I kw. 2024 r. Azerbejdżan wyeksportował do Unii 1,2 mln t produktów naftowych, z czego 90 proc. wyprodukowano z rosyjskiej ropy.

Aliyev, podobnie zresztą jak prezydent Turcji Erdoğan, ma jednoznacznie krytyczny stosunek wobec sankcji i dał temu wyraz w wielu wypowiedziach. Ale to przywódcy oportunistyczni, którzy starają się nie zamykać drzwi ani Rosji, ani Zachodowi. Podobnie Indie, które bez żenady kupują rosyjską ropę, gdyż – jak powiedział w trakcie czerwcowej wizyty w Finlandii Subrahmanyam Jaishankar, minister spraw zagranicznych kraju – liczą się dla nich wyłącznie cena i dostępność.

Tu małe wyjaśnienie dla ekspertów od geopolityki: kwestię roli Chin w obchodzeniu sankcji na Rosję pomijam celowo. Nie dlatego, że jest oczywista, a dlatego że wymagałoby to napisania osobnego artykułu. Zwłaszcza że Pekinowi nie chodzi w końcu tak bardzo o gospodarczy uzysk z sytuacji, ile o wzmacnianie swojej pozycji. Pomagając Rosji, po prostu uzależnia ją od siebie.

Uczyć się od najgorszych

Można argumentować, że poniekąd to Zachód – wbrew własnym intencjom – wyszkolił Rosję w obchodzeniu sankcji. Już sześć lat po tym, jak Putin przejął władzę w Rosji, w 2006 r., Stany Zjednoczone objęły sankcjami duży rosyjski podmiot Rosoboronexport, czyli firmę posiadającą ustawowy monopol na pośrednictwo w międzynarodowym handlu bronią. Powodem była współpraca z Iranem.

Siergiej Czemiezow, były agent KGB i ówczesny szef firmy, stwierdził buńczucznie, że sankcje nie wpłyną na firmę zbyt silnie. I faktycznie nie wpłynęły. Firma nie miała biznesowych kontaktów z USA, więc te nie mogły niczego zerwać. Ponadto zaczęła stopniowo odchodzić od transakcji dolarowych, uniezależniając się od systemu finansowego kontrolowanego przez jankesów. Sankcje przyspieszyły także włączenie firmy w skład Rostiechu, nowo utworzonego państwowego giganta, który miał być koncernem obsługującym zarówno

eprasa.pl 05b73191d3



FOT. FINNBARR WEBSTER/GETTY IMAGES

Tankowiec „Smyrtos" należący do rosyjskiej floty cieni został zatrzymany u brytyjskich wybrzeży. Portland, 14 czerwca 2026 r.

sektor cywilny, jak i obronny. Po agresji na Ukrainę to ten drugi filar działalności zaczął dominować. Doświadczony w obchodzeniu sankcji Czemiezow wciąż jest dzisiaj szefem.

Kolejna porcja ograniczeń przyszła w 2012 r. Po śmierci w rosyjskim areszcie Siergieja Magnitskiego, prawnika tropiącego afery korupcyjne z udziałem elit politycznych Federacji, USA przyjęły prawo pozwalające na blokowanie rosyjskim urzędnikom podejrzanym o łapówkarstwo wjazdu do tego kraju i na zamrażanie ich zagranicznych aktywów i kont. Do grudnia 2023 r. na liście znajdowały się 62 osoby. Sankcje te – podobnie jak te z 2006 r. – nie uderzały w Rosję w sposób szczególnie bolesny. Miało się to zmienić dopiero po aneksji Krymu w marcu 2014 r., gdy Zachód zaczął wprowadzać instrumenty uderzające w całe gałęzie gospodarki, zwłaszcza sektor finansowy, energetyczny czy obronny.

Sektor energetyczny dotknęły restrykcje blokujące transfer technologii. W przemyśle zbrojeniowym nałożono pełne embargo na handel bronią oraz zakazano dostarczania towarów i technologii podwójnego zastosowania. Osobne kompleksowe restrykcje objęły całą gospodarkę zaanektowanego Krymu, wprowadzając całkowity zakaz inwestowania na półwyspie, eksportu wybranych towarów oraz świadczenia usług turystycznych i transportowych.

Wszystkie te instrumenty nie były ani szczelne, ani kompleksowe. Nie mogły zadać rosyjskiej gospodarce śmiertelnego ciosu czy zapobiec rozbudowie zdolności bojowych – zresztą nie taki był ich cel. Uruchamiały jednak w Rosjanach kreatywność w obchodzeniu ograniczeń, która przydaje im się dzisiaj.

Ale Rosja – prócz tego, że sama wykazywała się innowacyjnością – czerpała z doświadczeń najgorszych: Iranu, Wenezueli i Korei Północnej. Od Iranu nauczyła się, jak unikać sankcji nakładanych na handel drogą morską. Teheran przez dekadę dopracował repertuar, który firma analityczna Lloyd's List Intelligence kataloguje dziś jako standardowe działanie floty cieni. Chodzi np. o fałszowanie AIS w sposób imitujący normalne zawinięcia do portu czy kradzież numerów IMO ze złomowanych tankowców, a nawet przejmowanie numerów jednostek wciąż pływających. Jak podaje Lloyd's List Intelligence, u wybrzeży Malezji, będących kluczowym punktem przeładunkowym dla ładunków irańskich, wenezuelskich i rosyjskich, ponad 50 tankowców miesięcznie manipuluje danymi pozycyjnymi.

Od Wenezueli Rosja nauczyła się m.in., jak operować kryptowalutami – a właściwie nauczyła się tego dzięki wenezuelskiej klęsce w tej kwestii. Maduro w 2018 r. wprowadził petro, państwową kryptowalutę, rzekomo zabezpieczoną tamtejszymi złożami ropy. Nikt jednak nie chciał jej przyjmować, bo – na litość! – nikt nie ufał w zabezpieczenie, którego ostatecznym gwarantem jest wariat. Rosja, wprowadzając swojego stablecoina A7A5, zadbała o jego wymienialność na tether, kryptowalutę o ustalonej już renomie i zaufaniu. Przez portfele powiązane z siecią A7 przeszło od początku 2024 r. co najmniej 8 mld dol. w stablecoinach, a w szczycie sam A7A5 obracał ok. miliardem dolarów dziennie.

Także Pjongjang inspirował Moskwę w zakresie prania brudnych pieniędzy za pomocą kryptowalut. Nauczyła się ona od Koreańczyków z Północy, że warto tworzyć własne tokeny (wpisy w publicznej księdze mówiące, ile monet należy do danego adresu), by móc skutecznie zacierać ślady po transakcjach. Dokładnie taką praktykę stosowali przecież północnokoreańscy hakerzy z grupy Lazarus, gdy w lutym 2025 r. wyprowadzili z giełdy Bybit ok. 1,5 mld dol.

Tak więc, gdy Putin obściskuje się z dyktatorami tego świata, nie robi tego sobie a muzom. To wyrachowany, ale jednak gest wdzięczności za pobrane nauki.

Przyp...ć czy odpuścić?

Jak wygląda bilans tej zabawy Rosji z Zachodem? Czy przypomina ona błędne koło? Nie. Rosja na tym froncie z Zachodem przegrywa – nie sromotnie, ale jednak.

Obecny stan gry jest następujący: choć Kreml umie obchodzić sankcje, Zachód relatywnie szybko i skutecznie to wykrywa i w efekcie jeszcze mocniej zaciska wokół niego pętlę. Spójrzmy ponownie na rosyjski handel ropą. Jak podaje ukraiński KSE Institute, skumulowane utracone wpływy Rosji z eksportu ropy od inwazji sięgnęły pod koniec 2025 r. od 155 do 159 mld dol. Z kolei jak wyliczył fiński ośrodek CREA, czwarty rok wojny przyniósł Rosji o 19 proc. mniej wpływów z eksportu wszystkich paliw kopalnych rok do roku i o 27 proc. poniżej poziomu sprzed inwazji.

Na istotną skuteczność sankcji wskazują też dane makroekonomiczne. Skumulowana inflacja od początku agresji na Ukrainę osiągnęła poziom ponad 40 proc. To skłoniło Bank Centralny Rosji do wywindowania stopy procentowej do – w szczytowym momencie – 21 proc., co w konsekwencji przełożyło się na zapaść inwestycji i produkcji w przemyśle cywilnym.

Choć oficjalny wzrost PKB Rosji jeszcze w latach 2023–2024 wyglądał w porządku (4,1 proc.), to był w dużej mierze pochodną wydatków wojennych, sięgających kilkunastu procent budżetu państwa. Tej iluzji nie można było dłużej utrzymywać. Wzrost PKB w 2025 r. spadł do 1 proc. i w tym roku ma być podobnie, przynajmniej według MFW. Z kolei deficyt budżetowy w 2025 r. wyniósł 5,736 bln rubli, czyli 2,6 proc. PKB, niemal pięciokrotnie więcej niż planowano.

To wszystko w połączeniu z kryzysem demograficznym i utratą rynku europejskiego spycha Rosję w gospodarczą stagnację. Putin w październiku 2025 r., po kolejnej serii sankcji na rosyjską ropę, sam przyznał, że „są one dla nas poważne, to jasne. I będą miały pewne konsekwencje".

Ale przewaga Zachodu na froncie gospodarczym nie oznacza zwycięstwa w wojnie. Rosja nie zamierza przecież składać broni, a przeciwnie – coraz częściej mówi się o możliwości zaatakowania przez nią któregoś z państw NATO. Co w tej sytuacji powinien zrobić Zachód? Nicholas Mulder w książce „The Economic Weapon" sugeruje, że – historycznie rzecz biorąc – sankcje nie tylko nie powstrzymywały agresji, lecz także prowadziły do skutków odwrotnych od zamierzonych. Jako jeden z przykładów podaje on atak na Pearl Harbor z grudnia 1941 r., który był w jego optyce efektem wcześniejszego zamrożenia przez USA japońskich aktywów i wprowadzenia embarga na dostawy ropy naftowej do Japonii. Mogłoby to sugerować, że ekonomiczne dociskanie Rosji może wywołać podobną eskalację. A jednak z perspektywy czasu wiemy, jak Pearl Harbor i II wojna światowa skończyły się dla Japonii, a jak dla USA. Rosja także to wie. I ta wiedza może eskalacji zapobiegać.

Jak głosi anegdota, Roman Wilhelmi, wybitny polski aktor, na marginesach scenariuszy filmów i spektakli, w których grał, w ramach przygotowania do roli stosował zaledwie dwa oznaczenia: „przy....ć", gdy trzeba było grać brawurowo, i „odpuścić", gdy można było... odpuścić. Wydaje się, jeśli wziąć pod uwagę doświadczenia historyczne regionu, że Zachód przy partiach scenariusza, w których pojawia się Rosja, powinien wbrew opiniom Muldera stosować pierwszą adnotację.

Arsenał środków do wykorzystania jest spory. Można np. wprowadzić pełny zakaz świadczenia usług morskich przy przewozie rosyjskiej ropy, obejmujących fracht, ubezpieczenie i obsługę bandery. Globalny rynek jest dziś dobrze zaopatrzony, więc ryzyko skoku cen, którym dotąd straszono, jest mniejsze. Można przestać udawać, że zamrożone rezerwy rosyjskiego banku centralnego kiedyś wrócą do właściciela, i przejąć je na poczet odbudowy Ukrainy. Unia wybrała w grudniu 2025 r. wariant ostrożny, czyli pożyczkę pod przyszłe reparacje, co prawdopodobnie zaledwie odsuwa ten krok w czasie, ale go nie zastępuje. Można wreszcie odciąć od rozliczeń dolarowych kilka banków obsługujących płatności za rosyjską ropę i zrobić z nich przykład. Precedens z 2024 r., gdy pod wpływem sankcji wtórnych chińskie banki zaczęły odrzucać 80 proc. rosyjskich przelewów w juanie, pokazuje, że to narzędzie, które działa. Wszystko to można zrobić. Tylko czy Zachodowi wystarczy na to odwagi? ©℗

Autor jest wiceprezesem Warsaw Enterprise Institute

Więcej tekstów tego autora Skanuj kod! DGP.pl

eprasa.pl 05b73191d3

Świat



Płacz będzie wielki

Zbombardowany saudyjski ropociąg to przygrywka. Szyiccy rebelianci z ruchu Huti chcą kontrolować Bramę Łez niczym Irańczycy cieśninę Ormuz

Mariusz

Janik

Ledwie wystarczyło czasu, żeby zabrać ze sobą dzieci. Przeraził nas ostrzał artyleryjski i snajperzy, biegliśmy tak szybko, jak tylko potrafiliśmy – opowiadał Al-Dżazirze Husajn Hajdara, który wraz z rodziną uciekł z ogarniętego walkami zachodniego wybrzeża Jemenu. Ale inni nie mieli tyle szczęścia, musieli się rozdzielić z bliskimi. – Moi zostali w domu – mówiła Aisza Muhammad, która uciekła z jednej z wiosek pod miastem Mokka, pozostawiając piątkę dzieci. – Córki dzwoniły do mnie i mówiły, że chciałyby do mnie dołączyć, ale to jest teraz zbyt niebezpieczne – dorzucała.

Uchodźców przybywa. Jak szacuje Biuro Koordynacji Spraw Humanitarnych ONZ (OCHA), od początku września – gdy walki w Jemenie ponownie wybuchły z pełną siłą, przenosząc się na wybrzeże Morza Czerwonego – dach nad głową straciło 125 tys. ludzi. Część z nich, jak można przypuszczać – rodziny rybaków z wybrzeża – wsiadła do łodzi i przeprawiła się na przeciwległy brzeg, głównie do Dżibuti. Inni szukają prowizorycznych kryjówek w pobliżu miejsca zamieszkania w nadziei, że wrócą do domu, jak tylko walki przygasną. Inni zmierzają do obozów uchodźców, w których przebywają już nie tylko inne ofiary toczącej się w Jemenie od kilkunastu lat wojny domowej, lecz także szacowana na 65 tys. osób rzesza uchodźców z Somalii i Etiopii, którzy, uciekając przed konfliktami we własnych ojczyznach, wpadli z deszczu pod rynnę. Biuro Wysokiego Komisarza ONZ ds. uchodźców szacuje, że pilnie potrzebuje 14 mln dol. na podstawową pomoc dla tych, którzy uciekli przed walkami.

Ale kwota ta będzie zapewne rosła z upływem kolejnych godzin. Kryzys humanitarny pogłębia się bowiem z dnia na dzień: we wtorek rebelianci relacjonowali, że w ciągu doby doliczyli się 52 nalotów na kontrolowany przez siebie obszar wybrzeża. Częściej niż co pół godziny, na dodatek Saudyjczycy wydają się nie wkładać zbytniego wysiłku w celowanie – bomby spadają po prostu na obszary kontrolowane przez Huti.

Na rebeliantach wydaje się to nie robić wrażenia. W momencie gdy zaczną w pełni szachować Bramę Łez – cieśninę Bab al-Mandab, łączącą Morze Czerwone z Zatoką Adeńską – staną się panami sytuacji. Choć w zasadzie od dawna mogą się tak czuć.

Klanowe ambicje

„Pośród Jemeńczyków prawdziwe przyczyny niepokojów, które wybuchły w 2004 r., pozostają równie niejasne, jak dla reszty świata. Błędnie wyjaśnia się je rywalizacją między szyicką mniejszością i sunnicką większością albo jako wojnę między Iranem a Arabią Saudyjską (...), w której Huti podniesieni są do rangi organizacji takich jak Hezbollah czy wreszcie – jako lokalny ruch dżihadystowski, który musi sprzymierzyć się z Al-Ka'idą" – pisała Victoria Clark, brytyjska reporterka, która w książce „Yemen. Dancing On The Heads Of Snakes" przedstawiła początki rebelii. – „O ile wszystkie te wyjaśnienia są błędne, o tyle prawdę trudno ustalić" – kwitowała.

Gdzieś u źródeł wybuchu mogła być ambicja. W chwili gdy doszło do zjednoczenia Jemenu – prozachodnia Północ połączyła się wreszcie w 1990 r. z sympatyzującym wcześniej z blokiem wschodnim Południem – w parlamencie wylądował Husajn Badreddin al-Huti. Reprezentował położone wysoko w górach miasto Sada, w którym jego klan – za sprawą prominentnego szyickiego teologa, głowy rodziny – zaczynał odgrywać coraz znamienitszą rolę. Ale Husajn nie chciał zostawać duchownym, podobnie jak pięciu jego braci. Zamiast tego od początku lat 90. zaczęli oni zakładać kolejne organizacje zrzeszające zajdytów (odłam szyizmu, bliski sunnizmowi – red.), stawiające sobie za cel odnowę wiary.

„Huti czuli się gorsi w porównaniu do innych zajdyckich klanów, gdyż byli zaledwie trzecim, a może czwartym pod względem prestiżu klanem w społeczności. I wycierpieli więcej. Kiedy inne klany powściągały swoje działania – wybierając raczej współpracę z prezydentem Salihem i branie jakiejkolwiek pomocy (i gotówki), jaką on oferował, Huti weszli na drogę buntu i stali się w dużej mierze punktem odniesienia dla co bardziej radykalnie nastawionych zajdytów w całym Jemenie, w tym znacznej społeczności ze starówki w Sanie (stolicy kraju po zjednoczeniu – red.)" – opisywał Sam Farran, amerykański żołnierz z libańskimi korzeniami, który spędził w niewoli u Huti pół roku.

Reporterzy i podróżnicy, którzy w latach 90. przemierzali Jemen, praktycznie jednak nie dostrzegali rosnącej siły ugrupowań zakładanych przez klan Huti: Partii Prawdy, Młodych Wiernych czy ruchu Ansar Allah (powiedzmy: Zwycięzców Bożych). Próżno szukać w książkach z tamtych lat wzmianek o grupie. Dopiero po zamachach 11 września Huti wyczuli okazję do wypłynięcia na szersze wody: gdy prezydent Salih poparł Waszyngton, Huti zażądali potępienia USA i Izraela w konsekwencji inwazji na Afganistan. „[Husajn al-Huti] wierzył, że to preludium do nowej fazy amerykańskiej kontroli regionu, bardziej agresywnej niż podczas zimnej wojny" – twierdzi Abdullah Hamidaddin, autor pracy „The Huthi Movement in Yemen. Ideology, Ambition, Security In The Arab Gulf".

Po kraju zaczęły krążyć kasety z nagranymi buńczucznymi kazaniami, a sympatycy ruchu zaczęli pokrywać mury antyrządowymi graffiti i wykrzykiwać propagowane przez lidera hasła na ulicach. Miarka przebrała się w 2003 r.: gdy amerykańscy marines wkroczyli do Iraku, w jednym ze stołecznych meczetów, podczas transmitowanych na żywo modłów, grupa zwolenników Hutich zaczęła wykrzykiwać „Śmierć Ameryce!" i „Śmierć Izraelowi!". Huti zaczęli też odcinać swój matecznik od reszty kraju, blokując drogi, i nawoływać do stawiania oporu rządowi.

Dla Saliha to było zbyt wiele. W 2004 r. armia rządowa zaczęła pro-

eprasa.pl 05b73191d3



FOT. MOHAMMED HUWAIS/AFP/EAST NEWS

Bojownicy Huti na ulicach Sany. 10 września 2026 r.

wadzić regularną wojnę z bojownikami Hutich, w lipcu tamtego roku dopadła też samego Husajna al-Hutiego – zginął w kryjówce pod Sadą. I choć rządowi doradcy później przekonywali Victorię Clark, że rebelia była dziełem jednego człowieka z przerostem ambicji, to powstanie zaczęło zataczać coraz szersze kręgi. Na czele ruchu stanął najmłodszy z braci Husajna, Abdulmalik al-Huti, choć pozostali bracia prawdopodobnie pełnili niemal równorzędne funkcje przywódcze. Walki przeciągnęły się na dekadę, układając się w ciąg powstań, a może jedną pełzającą wojnę domową. Im dłużej jednak trwały, tym bardziej było jasne, że to już nie jest wojna jednego klanu ze stolicą, a raczej permanentna rebelia wszystkich – albo olbrzymiej większości – zajdytów z sunnickim rządem.

Jemeński klincz

W tamtej dekadzie konflikt zaczął się internacjonalizować. Według plotek już Husajn al-Huti miał poznać Najwyższego Przywódcę Iranu ajatollaha Alego Chameneiego i lidera Hezbollahu szejka Nasrallaha. Jego następcy zaczęli poszukiwać u tych sojuszników wsparcia, być może począwszy od 2009 r., kiedy Huti – a właściwie Ansar Allah – zaczęli oskarżać rząd w Rijadzie o wspieranie Saliha. I nie bez kozery, bowiem Dom Saudów obawiał się zapewne, że szyicka rebelia może się przelać przez granicę do pogranicznej prowincji Nadżran, słynącej zarówno ze złóż ropy, jak i dominującej w tym regionie szyickiej społeczności. Trudno nie mieć wrażenia, że Teheran mógł dostrzec w rebelii szansę zaszkodzenia swojemu rywalowi z drugiego brzegu Zatoki Perskiej.

Rijad nie obronił jednak Saliha przed arabską wiosną – w 2012 r., pod presją coraz gwałtowniejszych protestów, które przerodziły się w walki, prezydent zrezygnował ze stanowiska. Zmiana była kosmetyczna, bo jego następca był do pewnego stopnia figurantem, choć rząd w Sanie liczył, że dzięki roszadzie uda się obłaskawić ruchy protestu, w tym Hutich. Z tego też pewnie powodu nowa władza wykonała gest pojednania: zaoferowano Hutim zwrot ciała Husajna al-Hutiego, które w 2004 r. wojskowi zabrali ze sobą. O ironio, jakakolwiek kalkulacja stała za tą ofertą, zwrot zwłok założyciela ruchu w rodzinne strony nadał tylko nowego impetu rebelii. W 2014 r., gdy w Sanie ponownie wybuchły protesty – formalnie na tle drożyzny i trudnych warunków życia – jak spod ziemi na ulicach wyrosły oddziały Hutich, które błyskawicznie przejęły stolicę.

Jak się wydawało, na dobre. Triumf rebelii był ostatecznym impulsem dla Arabii Saudyjskiej, by interweniować – pomysłodawcą ataku miał być książę Muhammed ibn Salman, następca tronu Arabii Saudyjskiej. Z militarnego i strategicznego punktu widzenia interwencja była kompletną klapą, jej znaczenie dla Hutich było niemal zerowe. Za to Jemeńczykom w ogóle kiepsko skoordynowana, brutalna, działająca na oślep saudyjska machina wojenna przyniosła prawdziwy armagedon: jak szacowano trzy lata temu, 80 proc. populacji kraju głodowało lub jadało nieregularnie, ponad 21 mln Jemeńczyków wymagało jakiejś formy pomocy humanitarnej, skokowo rosła śmiertelność dzieci.

W ogólnie panującym chaosie – gdyż rząd w Sanie zwalczało kilka rozmaitych frakcji, a gdzieś na drugim planie w kraju działają też dżihadyści spod znaku Al-Ka'idy, a potem Państwa Islamskiego – Huti wyrównali też rachunki z byłym prezydentem Salihem. Choć był taki moment, gdy obie strony zostały sojusznikami, to alians nie wytrzymał długo. Według świadków z partii byłego prezydenta w pewnym momencie salwował się on ucieczką ze swojego obozu, ale na drodze jego auta stanął Huti z granatnikiem. Choć ranny polityk zdołał się wydostać z wraku, inny Huti – tym razem snajper – go dobił. Inna sprawa, że adwersarze Hutich też odnosili sukcesy, m.in. zabijając dwóch z braci Husajna.

W ciągu ostatnich kilku lat wydawało się, że walczące strony znalazły się w impasie: przykładowo przez cztery lata poprzedzające ostatnią ofensywę linie frontu niemal się nie zmieniły. Arabskie państwa Zatoki Perskiej najwyraźniej wymogły na popieranych przez siebie frakcjach – bo też Arabia Saudyjska, Emiraty, Kuwejt czy Katar miały w Jemenie swoich faworytów – połączenie sił w ramach niezbyt stabilnej koalicji, która oczywiście nie objęła Hutich. Koalicja ta częściowo odzyskała kontrolę nad niektórymi częściami kraju, zwłaszcza na południu, przede wszystkim tymi, które wcześniej były kontrolowane przez dżihadystów. Rząd okopał się w Adenie, Huti – w Sanie. Z inicjatywy rozmaitych graczy, m.in. Omanu czy ONZ, Huti i ich adwersarze od czasu do czasu zawierali zawieszenia broni, wymieniali więźniów, pozwalali dostarczyć pomoc humanitarną. Po bestialskim rajdzie Hamasu na Izrael i początku brutalnej odwetowej kampanii Izraela w Strefie Gazy Huti symbolicznie zaznaczali swoją obecność, wystrzeliwując w jego kierunku rakiety czy atakując statki w Bramie Łez. Sprowadziło to na nich z kolei bombowce USA, których ataki miały poważnie osłabić rebelię.

Tę słabość miała potwierdzać bierność ruchu po wiosennym ataku Izraela i USA na Iran. Abdulmalik al-Huti złożył władzom w Teheranie kondolencje późno i powściągliwie, nie doszło do fali solidarnościowych ataków, których wówczas obawiali się eksperci. – Huti wierzą, że upadek reżimu w Iranie sprawi, że zostaną odsłonięci na atak. Ustaną przecież dostawy dronów i rakiet, które stanowiły kluczowy filar ich siły w ostatnich latach – komentował Fatehi bin Lazreq, redaktor naczelny publikowanej w Adenie gazety „Aden Al-Ghad". – Oni wciąż analizują sytuację i decyzję podejmą, kierując się rozwojem sytuacji w Iranie. Jeśli uznają, że zagrożenie dla irańskiego reżimu ma charakter egzystencjalny, włączą się do wojny – kwitował.

Tropem Teheranu

Najwyraźniej sytuacja została przeanalizowana: widząc, że Waszyngton po wiosennej kampanii militarnej zapędził się w kozi róg, a Teheran jest praktycznie bezkarny i może szachować Zachód groźbą całkowitego zamknięcia cieśniny Ormuz, Huti postanowili zrobić to samo z Bramą Łez. W ciągu zaledwie tygodnia z okładem przejęli kontrolę nad olbrzymią częścią wybrzeża, począwszy od miasta Mokka po strategicznie ulokowane wyspy w cieśninie: Perim i archipelag Hanisz.

Może nie była to błyskawiczna kampania totalna, jaką przeprowadzili afgańscy talibowie czy syryjscy rebelianci w ostatnich latach, ale też Huti wykorzystali podobny element zaskoczenia oraz uzyskali w ten sposób bardzo silną kartę przetargową: skuteczne zablokowanie dostaw saudyjskiej ropy może zmusić Rijad do wycofania poparcia dla uznanego przez Saudów – i większość innych państw – rządu Jemenu. Oczywiście, nie wiadomo, czy dokładnie taka kalkulacja stoi za wrześniową ofensywą ugrupowania, ale trudno nie brać jej pod uwagę. Tym bardziej że w przeciwieństwie do innych kampanii, tym razem Huti wydają się fortyfikować zdobyty teren – jak podał w środę portal Middle East Monitor, bojownicy okopują się na pozycjach i minują przedpola.

Mimo to eksperci powątpiewają jednak, czy Huti zdołają się tam utrzymać: ich siły musiały się w ostatnim czasie rozciągnąć na długość całego wybrzeża, co stanowi dla rebeliantów wyzwanie logistyczne. Nie przypadkiem też oddziały wierne rządowi próbują skoncentrowanymi atakami przerwać linie przeciwnika i uniemożliwić przerzucanie wsparcia między różnymi punktami wybrzeża. – Wojskowa doktryna Huti bazuje na taktyce partyzanckiej, adaptacji do zajętego terenu. Kompensują sobie swoje słabości na wybrzeżu, wycofując się w góry i kontrolując je. Tam zakładają pozycje pozwalające prowadzić ostrzał wybrzeża – tłumaczył w rozmowie z Al-Dżazirą Ali al-Dahab, jemeński ekspert ds. wojskowych i komentator stacji. Niemałe znaczenie może mieć też fakt, że Huti są ugrupowaniem związanym z północą kraju, a na południu ich wpływy nie są już tak silne, więc nie ma też mowy o nieformalnym wsparciu tubylców. Takiego poparcia nie zbuduje też rekrutacja miejscowych do lokalnych oddziałów Huti – nie jest tajemnicą, że dla weteranów rebelii takie naprędce tworzone formacje są mięsem armatnim, które ma się wykrwawiać, zanim doświadczeni bojownicy wkroczą do akcji.

Trudno się też spodziewać, że Zachód i pozostałe państwa arabskie będą się bezczynnie przyglądać, jak sprzymierzeńcy Teheranu zamykają jedyną sensowną alternatywę dla szlaków eksportu ropy przez Zatokę Perską. „Przechwycenie wybrzeża to niosąca najwięcej konsekwencji zmiana terytorialna w Jemenie od lat" – napisał analityk londyńskiego Królewskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych (Chatham House) Farea al-Muslimi po zajęciu Mokki i wysp w Bramie Łez. – „Zmienia się cała geopolityka Morza Czerwonego" – dodawał.

Eksperci zakładają bowiem, że przechwycenie Bramy Łez oznacza przejęcie nad nią kontroli de facto przez Iran. Dziennik „The Washington Post" spekuluje wręcz, że podbicie południowo-zachodniego wybrzeża Jemenu może się okazać „największym sukcesem Teheranu" w konfrontacji z Waszyngtonem. Na pewno zmusza Biały Dom do podjęcia decyzji, czy zerwać rozejm zawarty przez USA z Huti po ubiegłorocznych nalotach. Amerykanom raczej nie spieszy się do otwierania kolejnego frontu na Bliskim Wschodzie, zwłaszcza że w ostatnich dniach przyznali, że trwająca od późnej zimy kampania w Iranie wydrenowała ich zapasy amunicji. Z drugiej jednak strony Arabia Saudyjska to jeden z najwierniejszych sojuszników USA – w szczególności administracji Donalda Trumpa – i kampania w jej obronie wydaje się naturalnym krokiem.

W grę wchodzą też inne interesy. Co prawda, Huti zastrzegają, że przejście będzie zamknięte wyłącznie dla tankowców z saudyjską ropą, ale też tym szlakiem pływa niewiele innych jednostek, za to tamtędy saudyjska ropa trafia na światowe rynki – zwłaszcza do Europy i Chin. I to właśnie Pekin, będący jednym z nielicznych cichych sojuszników Teheranu, może naciskać na udrożnienie Bramy Łez. ©℗

eprasa.pl 05b73191d3

Turecki sen na czterech kołach

Elektryki Togg miały być symbolem nowej ery tureckiej motoryzacji i dowodem, że kraj potrafi stworzyć własną markę technologiczną. Jednak w Niemczech, gdzie zadebiutowały rok temu, sprzedano niespełna 150 aut

Maria

Wiśniewska

Turcja sprowadza z zagranicy 99 proc. potrzebnego gazu ziemnego i ponad 90 proc. ropy naftowej. Wojny ostatnich lat pokazały jednak Ankarze, że opieranie energetyki na imporcie jest ryzykowne. Dlatego rozwój zielonych technologii stał się jednym z głównych punktów politycznej agendy. Efekty już widać: źródła odnawialne generują ponad połowę prądu w krajowym miksie elektroenergetycznym, dwa razy więcej niż dekadę temu.

Ważnym elementem tego przedsięwzięcia są pojazdy elektryczne, a jego symbolem stała się marka Togg. Stoi za nią konsorcjum powstałe w 2018 r. w wyniku połączenia pięciu rodzimych firm z sektora motoryzacyjnego. Dziś z fabryki w Bursie, tureckim zagłębiu przemysłu samochodowego, wyjeżdżają dwa modele elektryków: rodzinny SUV o nazwie T10X, obecny na krajowym rynku od 2023 r., oraz fastback T10F, który zadebiutował pod koniec września 2025 r.

Pierwsze kroki

Historia tureckiej motoryzacji rozpoczęła się w latach 60. od montażu aut marki Anadol, bazujących na technologii i silnikach Forda. Produkcja na masową skalę ruszyła 10 lat później. Spółka Tofaş nawiązała wówczas współpracę z Fiatem i na licencji włoskiego koncernu powstał kultowy model Murat 124, turecka wersja popularnego Fiata 124. Starsze pokolenie Turków pamięta ten samochód jako „Hadży Murat", czyli „Pielgrzym Murat". Jego produkcja zbiegła się bowiem w czasie z religijną odwilżą w rygorystycznie świeckiej republice. Państwo poluzowało wówczas restrykcje dotyczące praktykowania islamu. Gdy zezwolono na podróżowanie do Mekki na własną rękę, Turcy masowo ruszyli nowymi autami na święty hadż.

Do tego czasu produkcja była skierowana głównie na rynek wewnętrzny. Przełom nastąpił pod koniec 1995 r. wraz z włączeniem Turcji do europejskiej unii celnej. Po zniesieniu barier koncerny motoryzacyjne z całego świata zainwestowały miliardy w rozbudowę linii produkcyjnych i otwarcie nowych zakładów. W rezultacie Turcja stała się kluczowym zapleczem motoryzacyjnym dla Starego Kontynentu. I zachowała tę rolę do dziś – to jeden z trzech najważniejszych dostawców samochodów dla Unii Europejskiej. W 2025 r. kraje Wspólnoty odpowiadały za ponad 70 proc. eksportu w tym sektorze.

Branża motoryzacyjna jest zarazem jednym z głównych filarów tureckiej gospodarki: zatrudnia ona 10 proc. wszystkich pracowników i generuje 5 proc. PKB. Problem polega na tym, że jeśli Turcja chce utrzymać pozycję głównego hubu produkcyjnego dla Europy, musi iść z duchem czasu i dostosować się do zachodzących na rynku zmian. Czasu jest niewiele, bo zgodnie z planami Komisji Europejskiej od 2035 r. producenci mają zredukować emisję dwutlenku węgla o 90 proc. W podobnym kierunku, choć bardziej opieszale, podążają nawet bogate w złoża ropy naftowej państwa Bliskiego Wschodu. Przykładem jest Arabia Saudyjska, która w ramach strategii Vision 2030, przygotowującej kraj na erę „po ropie", planuje, by do końca dekady co trzeci samochód w kraju miał napęd elektryczny.

– Świat przechodzi transformację i Turcja wie, że nie może spocząć na laurach – komentuje Adam Michalski, główny specjalista ds. Turcji z Ośrodka Studiów Wschodnich (OSW). Dlatego – tłumaczy – Ankara kusi inwestorów hojnymi ulgami podatkowymi, darmowymi gruntami pod budowę fabryk i gwarancjami rządowych zakupów pojazdów. Turcja chwali się też gęstą siatką publicznych punktów ładowania. Pod koniec 2025 r. na jedno złącze przypadało tam średnio osiem samochodów elektrycznych. To lepszy wynik niż np. w Niemczech, gdzie z jednego urządzenia korzysta ponad 10 aut.



FOT. MURAT CETINMUHURDAR/TUR PRESIDENCY/ANADOLU VIA GETTY IMAGES

Prezydent Turcji Recep Erdoğan i przywódca Egiptu Abdel Fattah el-Sisi testują Togga na ulicach Kairu. 4 lutego 2026 r.

Mosty i drony

Togg jest nie tylko projektem motoryzacyjnym, lecz także politycznym. Przez ostatnie dwie dekady władza budowała swoje poparcie na inwestycjach infrastrukturalnych. Symbolami sukcesu stały się spektakularne obiekty w Stambule: Most Selima Groźnego nad Bosforem czy dwupoziomowy tunel drogowy Eurazja, łączący europejską i azjatycką część miasta.

Teraz Ankara chce pokazać, że potrafi tworzyć również nowoczesne technologie. Wizytówką tych wysiłków był dotąd przemysł zbrojeniowy, dzięki któremu wojsko uniezależniło się od zagranicznych dostawców. Produkowany w Turcji sprzęt trafia dziś na cały świat, m.in. osławione drony bojowe Bayraktar, a od zeszłego roku także czołgi Altay. Osiągnięcia rodzimej zbrojeniówki cieszą się ogromnym zainteresowaniem wśród Turków – doroczny festiwal Teknofest, na którym prezentowane są innowacje krajowych inżynierów, odwiedzają całe rodziny.

W zamyśle władz samochód ma być kolejnym symbolem technologicznej niezależności państwa i namacalnym dowodem, że Turcja potrafi konkurować z Zachodem również na rynku konsumenckim. W Stambule na Togga przypada już jedna czwarta wszystkich rejestracji aut elektrycznych. – Dla mnie ważne było, że to samochód produkowany w Turcji. Ale nie kupiłbym go tylko z tego powodu. Musiał mi się też podobać i spełniać moje oczekiwania – mówi Murat, 40-letni mieszkaniec Stambułu i właściciel sedana Togg.

W kwietniu 2023 r. pierwsze auto z serii nabył sam prezydent Recep Erdoğan. Pojazdy trafiły również do polityków jego partii AKP, którzy zjeździli nimi swoje okręgi wyborcze. Miesiąc później w kraju odbyły się wybory prezydenckie i parlamentarne, w których odsunięcie Erdoğana od władzy przez zjednoczoną opozycję wydawało się realistycznym scenariuszem. W dniu głosowania nowe maszyny postawiono przed głównymi lokalami wyborczymi, by niezdecydowani wyborcy mieli przed oczami namacalny sukces władzy. Ostatecznie Erdoğan wygrał, choć dopiero w drugiej turze – i tylko o włos.

Niemiecka diaspora woli Mercedesy

Z biznesowego punktu widzenia projekt narodowego elektryka na razie jest nierentowny. Eksperci szacują, że aby marka Togg zaczęła na siebie zarabiać, jej fabrykę musiałoby opuszczać co najmniej 200 tys. samochodów rocznie. Tymczasem od startu produkcji pod koniec 2022 r. z taśm zjechało niewiele ponad 100 tys. pojazdów. Choć w rankingach sprzedaży w Turcji Togg dogania Teslę, to o dalsze wzrosty może być trudno – uważa Michalski. Właściciel tureckiego elektryka to raczej zamożny konsument, którego stać na wydatek 1,9 mln lirów (ok. 146 tys. zł). Dla przeciętnego Turka, zarabiającego średnio 45 tys. lirów (3,5 tys. zł) miesięcznie, to cena zaporowa. Sytuacji nie poprawiają wysokie stopy procentowe, które podnoszą koszt kredytów i zakupów na raty. Szansą ma być tańszy model kompaktowy, którego premiera planowana jest na czerwiec 2027 r. Rzecz w tym,

eprasa.pl 05b73191d3

że w tym segmencie Togg będzie musiał zmierzyć się z chińskimi markami, które oferują podobną jakość za znacznie niższą cenę.

Aby wyjść z finansowego impasu, Togg stawia na ekspansję zagraniczną. Rok temu firma zadebiutowała w Niemczech, licząc m.in. na liczną turecką diasporę. Następne mają być Francja i Włochy. Pierwsze wyniki nie są optymistyczne. W pierwszym roku u naszego zachodniego sąsiada sprzedano zaledwie 144 samochody. Rzecznik Togga w Niemczech Sacit Dizman tłumaczy te skromne wyniki wczesnym etapem rozwoju marki. – Firma nie skupia się teraz na szybkim zysku, lecz na budowaniu trwałych fundamentów, w tym sieci serwisowej i punktów testowych – mówi Dizman.

Zdaniem Matthiasa Schmidta, założyciela firmy doradczej Schmidt Automotive Research w Berlinie, niewielka rozpoznawalność marki za granicą jest głównym problemem Togga. Nie chodzi tylko o porównanie z europejskimi autami, lecz także chińskimi pojazdami, które mają w Unii rozbudowane kanały sprzedaży i serwisu. Sama diaspora może nie wystarczyć.

– To dość spory rynek, ale kurczy się, gdy weźmiemy pod uwagę, że zamożni Turcy mieszkający w Niemczech chętniej wybiorą Mercedesa lub BMW. Auta te nie są obłożone tam gigantycznymi podatkami od pojemności silnika, które trzeba płacić w Turcji, więc są bardziej przystępne cenowo. Dają też wyższy status społeczny, zwłaszcza w oczach krewnych w ojczyźnie – mówi Schmidt.

Stawianie wyłącznie na unijny rynek staje się też ryzykowne, bo Bruksela zaostrza kurs protekcjonistyczny i promuje projekty spod znaku „Made in Europe", wymierzone głównie w Chiny. W przyszłości mogą one rykoszetem utrudnić dostęp do unijnego rynku także tureckim producentom. Ankara lobbuje za włączeniem jej do nowych przepisów faworyzujących europejski sektor, ale musi się liczyć z odmową.

Zdaniem Michalskiego jest to jeden z powodów, dla których Turcja szuka alternatywy i przekierowuje część biznesu w stronę Azji Centralnej i Południowo-Wschodniej oraz Afryki. Liczy, że zyska tam nowe rynki zbytu dla rodzimych towarów i rozwijanych nad Bosforem nowoczesnych technologii. W dywersyfikacji pomaga jej strategiczne położenie i dobre połączenia z tymi regionami.

Togg stał się elementem tej strategii. Erdoğan przekazał już kluczyki do narodowego elektryka przywódcom m.in. Malezji, Indonezji, Pakistanu, Egiptu oraz bogatych monarchii Zatoki Perskiej, takich jak Arabia Saudyjska i Katar. W lutym podczas wizyty tureckiego lidera w Kairze prezydent Egiptu Abdel Fattah al-Sisi osobiście usiadł za kółkiem podarowanego mu Togga i przewiózł gościa przez miasto. W Ankarze żartuje się, że ta krótka przejażdżka wystarczyła, by wznowić relacje handlowe, które pozostawały zamrożone od 2013 r., gdy Sisi odsunął od władzy wspieranego przez Erdoğana Muhammada Mursiego. Samochód był jednak tylko efektownym wstępem do twardych negocjacji biznesowych, które przypieczętowano miliardowymi kontraktami na dostawy dronów Akinci oraz umową na wspólną produkcję tureckich bezzałogowców w Egipcie.

Przez Turcję do Unii?

Mimo że chińskie koncerny są konkurencją dla lokalnych firm, Ankara nie chce się zamykać na współpracę z Pekinem. Choć Togg promuje się jako „w 100 procentach turecki produkt", nie jest to do końca prawda. Baterie litowo-jonowe dostarcza Siro, joint venture, w którym uczestniczy producent z Państwa Środka Farasis Energy. W maju Togg podpisał też strategiczną umowę z gigantem branży bateryjnej CATL, zgodnie z którą trzeci model Togga będzie oparty na chińskiej platformie samochodowej.

– Jak wiadomo, we współczesnym globalnym łańcuchu dostaw żaden samochód nie ma tylko jednej narodowości. Nie mamy obsesji na tym punkcie. Ale prawa własności intelektualnej i wszystkie aktywa projektu należą do Turcji – mówi Burak Dağlıoğlu, szef Biura Inwestycji przy prezydencie Republiki Turcji, zajmujący się kontaktami z zagranicznymi inwestorami.

Wobec chińskich producentów Ankara prowadzi dwutorową politykę. Z jednej strony chce chronić rodzimy przemysł przed napływem tanich aut z Azji, z drugiej zabiega o azjatycki kapitał i technologie, które mogą wzmocnić pozycję kraju jako centrum motoryzacyjnego. To szczególnie ważne w obliczu kryzysu tradycyjnych europejskich koncernów i niepewności wokół ich planów inwestycyjnych. Tureckie władze wprowadziły więc 40-procentowe cła na gotowe pojazdy z Azji, jednocześnie zachęcając chińskie marki do produkcji na miejscu. Ankara wykorzystuje przy tym brak ceł w handlu z UE. Firmy, które zbudują zakłady w Turcji, zyskają łatwiejszy dostęp również do rynków państw Wspólnoty.

Rzecz w tym, że niektóre kraje Unii działają dokładnie tak samo. O przejęcie zamykanych w Niemczech zakładów Volkswagena zabiega Xpeng, chiński koncern Chery przejął dawną fabrykę Nissana w Barcelonie, a firma Leapmotor montuje już swoje elektryki w zakładach w Saragossie. Wszystko wskazuje też na to, że Turcja przegrała z Węgrami bitwę o BYD. Na początku roku w Szegedzie ruszył próbny montaż aut. Kilka miesięcy później chiński gigant, który planował fabrykę także nad Bosforem, oficjalnie ogłosił, że wstrzymuje projekt.

– Z biznesowego punktu widzenia firmie nie opłaca się utrzymywać dwóch bliźniaczych zakładów tak blisko siebie. Produkcja wewnątrz unijnych granic daje gwarancję, że Bruksela nie zablokuje ich aut ani nie nałoży na nie karnych ceł. W przypadku Turcji inwestorzy nigdy takiej pewności nie mają – podkreśla Michalski. ©℗

Więcej tekstów tej autorki Skanuj kod! DGP.pl

AUTOPROMOCJA

DGP | Dziennik Gazeta Prawna

SFERA BUDŻETOWA

Praktyczne wsparcie dla **sektora publicznego**



SFERA BUDŻETOWA w DGP.pl
to konkretne odpowiedzi na codzienne problemy księgowych, kadrowych i kierowników jednostek sektora finansów publicznych.

OBSZARY WIEDZY:
- Sprawy kadrowe
- ZFŚS
- Rachunkowość i finanse
- Klasyfikacja budżetowa
- Sprawozdawczość
- Podatki i opłaty
- Kontrola i odpowiedzialność
- Pragmatyki służbowe

Polecam
Magdalena Sobczak
redaktor zarządzająca DGP Sfera Budżetowa



Wejdź i korzystaj

eprasa.pl 05b73191d3

Ciężar tego, co zrobiłam

Kim była 18-letnia Christa Pike: niedojrzałą nastolatką z ciężką traumą czy wyrachowaną zbrodniarką, która przedłużała cierpienia swojej ofiary dla rozrywki?

Emilia
Świętochowska

30 września władze więzienia o zaostrzonym rygorze w Tennessee planują podać śmiertelny zastrzyk Chriście Pike, skazanej w 1996 r. za brutalne morderstwo koleżanki. W dniu popełnienia zbrodni Pike miała 18 lat. Jeśli tak się stanie, będzie pierwszą kobietą straconą na terenie stanu od 1819 r.

Na początku miesiąca obrońcy Pike złożyli u gubernatora 226-stronicowy wniosek o zamianę kary śmierci na dożywocie, dowodząc, że jej sprawa jest wyjątkowa: w czasie procesu ława przysięgłych nie dowiedziała się o gwałtach i innych formach przemocy, których oskarżona doświadczyła w dzieciństwie. Nie usłyszała też, że cierpi na chorobę dwubiegunową i jak mogło to wpłynąć na jej zachowanie. „Te okoliczności nie usprawiedliwiają tego, co się wydarzyło. Są jednak kluczowe, żeby zrozumieć, jak mogło dojść do tak niewyobrażalnego czynu oraz jak bardzo zawiedli dorośli i instytucje" – argumentują prawnicy.

Z apelem o złagodzenie wyroku wystąpili też m.in. eksperci Rady Praw Człowieka ONZ. „Egzekucja Pike byłaby zwieńczeniem trwającego latami cierpienia fizycznego i psychicznego oraz prawie trzech dekad spędzonych w celi śmierci" – przekonują. Ich zdaniem wyjątkowo długi pobyt w izolacji połączony z trudnymi warunkami detencji należy uznać za tortury.

Wcześniejsze próby uchylenia kary śmierci – a w ciągu ostatnich 30 lat było ich wiele – zakończyły się niepowodzeniem.

Celebrytka z celi śmierci

Na nagraniach z sali sądowej trudno dać jej 20 lat. Obsypana trądzikiem buzia, burza kasztanowych włosów przewiązanych frotką oraz spłoszone spojrzenie sprawiają, że wygląda jak dziewczynka czekająca na reprymendę od rodziców. Jej adwokat mówi wręcz, że jest bardziej niedojrzała emocjonalnie niż jego dziesięcioletnia córka. Gdy 30 marca 1996 r. sędzia odczytuje werdykt, młoda kobieta zaczyna szlochać i błaga, by pozwolono jej ostatni raz przytulić matkę.

Ława przysięgłych zapamięta całkiem inny obraz: bezwzględnej zbrodniarki, która w ekstazie opowiadała przyjaciółce, jak poderżnęła swojej ofierze gardło nożykiem do papieru. „Dla reszty kraju Christa Pike stała się celebrytką z celi śmierci, dziecięcą gwiazdą świata true crime i kolejną skazaną «wariatką», na którą można cmokać z dezaprobatą oraz gapić się w tabloidowej galerii morderców" – pisał lokalny dziennik „Knoxville News Sentinel".

Na rozprawie dziewczyna sprawiała wrażenie, jakby czerpała przyjemność z otaczającego ją rozgłosu. Przyjmowała wizyty ekip telewizyjnych, udzielała wywiadów pismom kobiecym, a nawet wzięła udział w sesji zdjęciowej dla magazynu „George" Johna F. Kennedy'ego juniora. Wielu Amerykanów śledziło ten spektakl z perwersyjną fascynacją, utwierdzając się w przekonaniu, że główna bohaterka jest potworem bez sumienia i ludzkich uczuć.

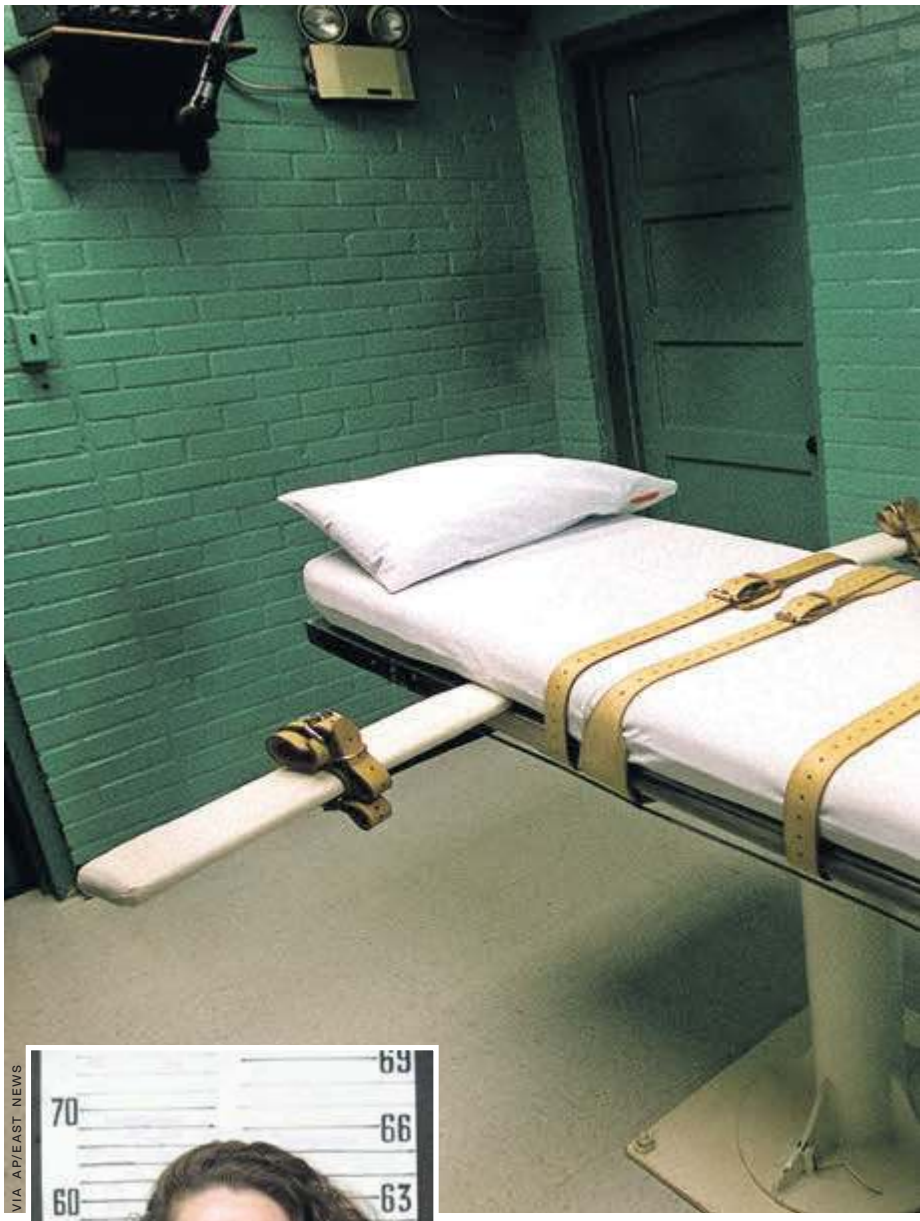
Historia, która zakończyła się dla Christy wyrokiem śmierci, rozpoczęła się jesienią 1994 r. 18-latka wyjechała wtedy z Karoliny Północnej do Tennessee, by rozpocząć szkolenie pielęgniarskie w ośrodku Job Corps, w ramach rządowego programu kształcenia zawodowego dla młodzieży sprawiającej problemy wychowawcze. Nie wiedziała, że placówka w Knoxville cieszyła się złą sławą z powodu wszechobecnej przemocy i narkotyków, na które opiekunowie ze strachu przymykali oko. Wielu uczniów na co dzień nosiło przy sobie żyletki, by bronić się przed licznymi gangami prześladującymi słabszych.

Liderem jednej z takich grup i najgroźniejszym mieszkańcem ośrodka był 17-letni Tadaryl Shipp, z którym Christa nawiązała intensywną i toksyczną relację. Tadaryl kontrolował dziewczynę, zabraniając jej rozmawiać z innymi chłopcami, a także znęcał się nad nią fizycznie – wielu uczniów widziało, jak uderzał jej głową o ścianę, kopał i bił po twarzy. Psycholodzy powiedzą później, że Christa uważała Tadaryla za obrońcę: jako opuszczona nastolatka dorastająca w domu, w którym bicie uchodziło za jedyną metodę wychowawczą, wierzyła, że u boku agresywnego mężczyzny będzie bezpieczna. Gorliwie starała się więc go zadowolić, przejmując nawet jego zainteresowanie satanizmem.

Obsesyjna zazdrość doprowadziła Christę do konfliktu z inną uczennicą, 19-letnią Colleen Slemmer. Podejrzewając, że Colleen chce jej odbić chłopaka, późnym wieczorem 12 stycznia 1995 r. zwabiła ją do opuszczonej elektrociepłowni na kampusie Uniwersytetu Tennessee pod pretekstem wspólnego palenia marihuany. Na miejscu dołączyli do nich Tadaryl i inna koleżanka, Shadolla Peterson. Po krótkiej wymianie wyzwisk Christa powaliła rywalkę na ziemię, a następnie razem z chłopakiem zaczęła ją kopać, ciąć i dźgać. Colleen ostatecznie zmarła po tym, jak napastnicy zmiażdżyli jej głowę kawałkami asfaltu. Jeszcze tej samej nocy Christa zrelacjonowała przyjaciółce szczegółowy przebieg tortur, tańcząc, śmiejąc się i wyśpiewując bełkotliwe „la, la, la". Na dowód zbrodni zaprezentowała fragment czaszki, który „zabrała ze sobą na pamiątkę".

Według ustaleń śledczych Tadaryl wyciął na piersi ofiary pentagram, co tylko podsyciło medialne spekulacje, że było to morderstwo rytualne. Zabójstwo przypadło na okres szalejącej w Stanach Zjednoczonych satanistycznej paniki, a wyalienowana, zbuntowana młodzież z prowincji wydawała się jej akuszerom szczególnie podatna na opętanie i sekciarskie praktyki.

Christa jako jedyna z całej trójki została skazana na karę śmierci za morderstwo z premedytacją. Kilka miesięcy młodszy od niej Tadaryl, również uznany winnym, dostał łagodniejszy wyrok: dożywotnie pozbawienie wolności z możliwością przedterminowego zwolnienia. Różnica wynikała z przepisów stanu Tennessee, które zakazują orzekania kary śmierci sprawcom poniżej 18. roku życia. Shadolla, która stała na czatach, kiedy para zabijała koleżan-





FOT. TENNESSEE DEPARTMENT OF CORRECTION VIA AP/EAST NEWS

Sala egzekucji w więzieniu w Huntsville w Teksasie. Po lewej: Christa Pike w 2016 r.

eprasa.pl 05b73191d3



FOT. CHUCK BERMAN/CHICAGO TRIBUNE/TRIBUNE NEWS SERVICE VIA GETTY IMAGES

kę, zgodziła się zeznawać jako świadek prokuratury, za co nagrodzono ją wyrokiem w zawieszeniu.

Zmiana strategii

Życie Christy wydłużyło się dzięki kolejnym odwołaniom, które na zmianę wnosiła i wycofywała. W czerwcu 2002 r. sędzia wyznaczyła już nawet datę egzekucji, ale w ostatniej chwili skazana znowu zmieniła zdanie i wystąpiła o wznowienie postępowania. Nowy zespół obrońców przekonywał, że w procesie z 1996 r. doszło do rażących błędów. Ponieważ ówcześni adwokaci Christy nie mieli doświadczenia w sprawach o przestępstwo zagrożone karą śmierci, nie wezwali na świadków ekspertów, którzy mogliby pomóc ławie przysięgłych zrozumieć jej stan psychiczny. Swoją klientkę odmalowali jako morderczynię z przypadku – infantylną, nieporadną dziewczynę, zmanipulowaną przez dominującego chłopaka. Przed sądem apelacyjnym obrona zmieniła strategię: przekonywała, że los Christy jako zabójczyni został przesądzony już w dzieciństwie. Biegły neurolog, który przebadał skazaną, zeznał, że najprawdopodobniej urodziła się z uszkodzeniem płatu czołowego mózgu spowodowanym spożywaniem alkoholu przez matkę w czasie ciąży. Od niemowlęctwa miewała napady padaczkowe, a kiedy dorastała, nie radziła sobie z wykonywaniem poleceń i regulowaniem emocji. Dopiero w więzieniu rozpoznano u Christy chorobę afektywną dwubiegunową, choć objawy zaburzenia pojawiły się wiele lat wcześniej. Na długo zanim trafiła do Job Corps, zmagała się z bezsennością i gonitwą myśli, a okresy pobudzenia przeplatały się u niej z epizodami depresji. Kiedy chodziła do podstawówki, dwukrotnie próbowała popełnić samobójstwo poprzez przedawkowanie leków.

Do jej problemów psychicznych przyczyniły się traumatyczne przeżycia. Zapijająca depresję matka niechętnie zajmowała się córką i jak tylko znajdowała sobie nowego chłopaka lub męża, podrzucała ją babce, która także piła. W przewijającym się przez dom korowodzie mężczyzn roiło się od brutali z upodobaniem do skórzanych pasów – z ojcem dziewczyny na czele. Rodzinna tradycja traktowała przemoc jako najskuteczniejszą metodę rozwiązywania problemów, więc od wczesnych lat uczono Christę, by na każdy atak odpowiadać użyciem siły.

Porzucone, zaniedbywane dziecko stało się bezbronnym celem drapieżników seksualnych. Dziewczyna została dwukrotnie zgwałcona – raz w wieku dziewięciu lat przez sąsiada powszechnie znanego w okolicy jako pedofil; za drugim razem, gdy miała 17 lat, przez nieznajomego. U progu dojrzewania była też molestowana przez jednego z partnerów matki. Po tym, jak mężczyzna napadł na Christę w obecności koleżanki, opieka społeczna umieściła ją na kilka miesięcy w placówce opiekuńczej.

Jonathan Pincus, neurolog i psychiatra, który badał ją w więzieniu, zdiagnozował u niej zespół stresu pourazowego (PTSD) i zaburzenia dysocjacyjne, przejawiające się m.in. poczuciem odcięcia od otoczenia, emocji i własnego ciała oraz lukami w pamięci. „Potrafi sobie wyobrazić, że znajduje się w szczęśliwszym miejscu – dziecięcym raju przypominającym świat kreskówek, który jest i zawsze był dla niej zupełnie realny" – napisał w opinii. Dodał, że zaburzenia te są częste u osób doświadczających przemocy w dzieciństwie.

Obrońcy Christy argumentowali, że jej historia medyczna ujawnia splot wyjątkowo niebezpiecznych czynników, na które nie miała wpływu. Z kolei prokuratura konsekwentnie twierdziła, że skazana nie tylko zaplanowała zabójstwo Colleen, lecz przedłużała jej cierpienia dla rozrywki.

Batalia przed sądami stanowymi zakończyła się po przeszło 12 latach: w grudniu 2008 r. sędzia Mary Beth Leibowitz oddaliła wniosek o wznowienie procesu. Adwokaci jednak nie rezygnują – z wnioskiem o uchylenie kary śmierci zwracają się tym razem do sądu federalnego. Wyrok, który zapada w 2019 r., zamyka kolejną furtkę, ale data egzekucji znowu się oddala. W 2022 r. Sąd Najwyższy Tennessee orzekł, że dożywotnie więzienie bez możliwości przedterminowego zwolnienia to zbyt okrutna kara dla 17-letniego zabójcy. Powołał się przy tym na liczne badania wskazujące, że w okresie dojrzewania zachodzą głębokie zmiany w budowie i funkcjonowaniu mózgu. Chodzi w szczególności o regulujący pobudzenie emocjonalne układ limbiczny i korę przedczołową, odpowiedzialną za samokontrolę i podejmowanie decyzji. Z tego powodu nastolatki są bardziej impulsywne i silniej reagują na aprobatę rówieśników, a także trudniej im nad sobą panować, kiedy są zdenerwowane albo podekscytowane. Stanowy SN zaznaczył, że stopień zawinienia osoby nieletniej jest mniejszy niż u dorosłego, dlatego przy wymierzaniu kary młodemu sprawcy należy uwzględniać jego wiek.

Prawnicy Christy dostrzegają w tym nową szansę – przecież nie ma podstaw, by różnicować karę w zależności od tego, czy przestępca miał 17, czy 18 lat. Zlecają więc sporządzenie dodatkowych opinii sądowych, m.in. specjalistce psychologii klinicznej Bethany Brand, która napisze, że skazana „doświadczyła w życiu więcej poważnych, negatywnych zdarzeń niż 99 proc. populacji Stanów Zjednoczonych". Według Brand „jej niedojrzały, naznaczony traumą mózg sprawiał, że była szczególnie podatna na działanie impulsów i podejmowanie skrajnie złych decyzji. Bez odpowiedniego leczenia nie potrafiła hamować emocji wywołanych chorobą afektywną dwubiegunową i PTSD".

W nowym wniosku o wznowienie postępowania adwokaci podkreślają przemianę, jaką dzięki lekom i trzem dekadom refleksji przeszła ich klientka: z dziewczyny bez skruchy w kobietę, która wyraża szczery żal i bierze odpowiedzialność za swoje czyny. W liście do dziennika „The Tennessean" skazana, mająca obecnie 50 lat, wyznała: „Potrzebowałam wielu lat, żeby w ogóle uświadomić sobie ciężar tego, co zrobiłam. Jeszcze więcej czasu zajęło mi zaakceptowanie, jak wiele osób dotknęły moje czyny".

Sądy łaskawsze dla kobiet

Organizacja Death Penalty Information Center szacuje, że w historii Ameryki stracono ok. 580 kobiet. Pierwsza udokumentowana sprawa to powieszenie Jane Champion w 1632 r. Ława przysięgłych w James City w Wirginii uznała ją winną zabójstwa swojego nieślubnego dziecka. Około jedna trzecia straconych kobiet była niewolnicami, które nierzadko płaciły życiem za bunt czy nawet nieposłuszeństwo. Najmłodszą Amerykanką, na której wykonano karę śmierci, była Hannah Ocuish, 12-latka z niepełnosprawnością intelektualną i członkini plemienia Pekotów, skazana w 1786 r. za zamordowanie sześcioletniej córki bogatego farmera. Jedynym obciążającym dowodem okazały się jej zeznania. Hannah miała powiedzieć śledczym, że zabiła dziewczynkę, bo ta oskarżyła ją o kradzież truskawek. W ostatnich latach historycy zaczęli jednak podważać wiarygodność tego motywu.

Od 1976 r., kiedy Sąd Najwyższy po krótkiej przerwie przywrócił wykonywanie kary śmierci, w Stanach Zjednoczonych stracono 18 kobiet – to niespełna 1,1 proc. wszystkich egzekucji przeprowadzonych w tym okresie. Ostatniej Amerykance podano śmiertelny zastrzyk w 2023 r. w Missouri. Była nią 49-letnia Amber McLaughlin, skazana za zgwałcenie i zamordowanie swojej byłej dziewczyny. Sprawa była nietypowa: Amber urodziła się mężczyzną, lecz w więzieniu zaczęła się identyfikować jako transpłciowa kobieta, przy czym nie dokonała prawnej zmiany imienia ani nie przyjmowała terapii hormonalnej. Jeszcze rzadziej amerykańskie sądy wymierzają dziś karę śmierci osobom w wieku 18–20 lat. O ile jeszcze w 2008 r. zapadło 20 takich wyroków, o tyle w zeszłym roku tylko jeden.

Christa Pike jest od lat jedyną kobietą oczekującą na egzekucję w Tennessee i jedną z 45 w całych USA. Od prawie trzech dekad przebywa w celi wielkości miejsca parkingowego, sąsiadującej z oddziałem dla więźniów z poważnymi zaburzeniami psychicznymi lub uznanymi za szczególne zagrożenie. Żyje niemal w całkowitej izolacji – przez większość czasu spędzonego w zakładzie nie miała żadnych kontaktów z innymi osadzonymi ani z personelem, nie mogła pracować ani uczestniczyć w zajęciach edukacyjnych czy w praktykach religijnych. Republikański gubernator Tennessee Bill Lee ma prawo zamienić wyrok śmierci na dożywocie, ale od objęcia urzędu w 2019 r. ani razu nie skorzystał z tej możliwości, mimo że wpłynęło do niego osiem wniosków. Lee jest zwolennikiem utrzymania kary ostatecznej. Dwa lata temu podpisał ustawę dopuszczającą egzekucję przestępców skazanych za zgwałcenie dziecka. ©℗

eprasa.pl 05b73191d3

Idee

Uczniowie i nauczyciele żyją w światach równoległych



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Marcin Kędzierski

Opublikowane w zeszłym tygodniu wyniki badań PISA wprawiły w euforię część komentatorów. Mówią one jednak nie tylko o umiejętnościach naszych 15-latków, lecz także o jakości nauczycieli. To, czego się dowiadujemy o tych ostatnich, nie napawa optymizmem. Na pytanie, czy możesz liczyć na pomoc ze strony nauczyciela i czy jest on zaangażowany, duża część polskich uczniów odpowiedziała przecząco. Wypadamy tu najgorzej wśród badanych krajów OECD. Niepokojące jest zwłaszcza to, że wytrwałość uczniów, ich zaangażowanie i ciekawość świata prawie w ogóle nie zależą od oceny pracy nauczyciela. Mogłoby go tam nawet nie być.

W powiązaniu z innymi wynikami PISA oznacza to, że polscy uczniowie mają fatalne zdanie o swoich nauczycielach. W ich opinii nie ma dużej różnicy między słabymi a lepszymi belframi. A co najważniejsze, dzieci niczego szczególnego już od nich ani od samej szkoły nie oczekują. Podobnie jak rodzice, którzy coraz częściej wszczynają dyrekcji roszczeniowe awantury, choć i tak zakładają, że to oni muszą wziąć odpowiedzialność za oceny swoich pociech. Badania PISA pokazują zresztą, że zaangażowanie opiekunów w edukację jest coraz większe.

Należy podkreślić, że nie dają nam one obiektywnej wiedzy o jakości pracy nauczycieli, raczej informują o tym, jak jest postrzegane funkcjonowanie szkoły. Nie jest wielką tajemnicą, że w Polsce opinia na temat tej grupy zawodowej jest, delikatnie mówiąc, nienajlepsza. Świetnie było to widać choćby wiosną 2019 r. w trakcie strajku nauczycielskiego, który nie cieszył się masowym poparciem społecznym. Sytuacji nie poprawiła pandemia, kiedy rodzice mogli zobaczyć nieporadne próby radzenia sobie z edukacją zdalną. To właśnie wtedy zaufanie do nauczycieli ostatecznie się załamało.

Obwinianie ich za niską jakość edukacji zdalnej jest nieuzasadnione. Po pierwsze, nikt ich do tego nie przygotował. Po drugie, efektywność takiej formy procesu dydaktycznego w przypadku dzieci niemal z definicji jest bliska zera. Nawet nauka dorosłych w trybie online ma swoje ograniczenia, czego sam doświadczam w pracy.

To nie zmienia ogólnego wniosku płynącego nie tylko z badań międzynarodowych i krajowych, lecz także z rozmów z nauczycielami i dyrektorami. Z zastrzeżeniem, że generalizacje są zawsze krzywdzące, można stwierdzić, że przeciętny nauczyciel jest słabo przygotowany do zawodu, przeciążony nadgodzinami i hałasem, niezmotywowany, niespecjalnie zaangażowany i niezbyt zainteresowany zdobywaniem nowych kompetencji. Powszechnej frustracji towarzyszy poczucie niedocenienia, braku wdzięczności oraz przekonanie o własnej wyjątkowości, które nasila się wraz z rozwojem mentalności oblężonej twierdzy. Im bardziej nauczyciele są atakowani przez uczniów, rodziców czy polityków, tym mocniej zasklepiają się w poczuciu będącym mieszanką krzywdy i wybujałej samooceny.

Problem ten dotyczy zwłaszcza starszych roczników, choć to niewiele zmienia, bo średnia wieku w zawodzie dobija do pięćdziesiątki. Młodzi – o ile w ogóle trafiają do szkoły – często uciekają po kilku latach. Nauczyciele dyplomowani, ci najbardziej doświadczeni, stanowią już prawie 60 proc. kadry. Z kolei nauczyciele początkujący, będący na starcie drogi zawodowej, to tylko ok. 20 proc. Wielu z nich nie dociera do kolejnego stopnia awansu choćby dlatego, że od początku traktowali pracę w szkole jako wyjście awaryjne. Mamy więc starzejącą się grupę belfrów i dużą rotację na niższych szczeblach. Ma to również przełożenie na dyskusję o zarobkach. Kwestia podwyższenia progu podatkowego nie wzięła się znikąd – nauczyciele dyplomowani (powtórzę – to większość) z dodatkiem stażowym i nadgodzinami łatwo go przekraczają. Nie uważam, że to wystarczy, by stwierdzić, iż nauczyciele zarabiają już naprawdę dobrze (choć dyplomowani wyraźnie przekraczają medianę). Mam jednak głębokie przekonanie, że podwyższenie wynagrodzeń 55-letnim nauczycielkom, które wyczekują emerytury, nie wpłynie na jakość ich pracy, zresztą nie z ich winy. Z perspektywy belfrów najgorsze jest to, że wszyscy o tym doskonale wiedzą.

Nie mamy twardych danych obrazujących, jak bardzo jest źle. Z badań przeprowadzonych kilka lat temu przez prof. Jana Fazlagicia z Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu możemy się dowiedzieć, że dobrzy, zaangażowani i rozwijający się nauczyciele to ok. 15 proc. środowiska, a znaczna większość to przeciętniacy. Gwoli sprawiedliwości trzeba dodać, że w wielu innych zawodach statystyki te wyglądają zapewne niewiele lepiej.

Z ostatnich badań TALIS prowadzonych przez OECD wynika, że najwyższy poziom kompetencji osiągnęło tylko 25 proc. polskich nauczycieli. To wyraźnie mniej niż w wielu innych państwach rozwiniętych (a i tak wynik ciągnęli w górę głównie nauczyciele języków nowożytnych). Aż 64 proc. badanych osiągnęło poziom średni, a co dziesiąty ma rażąco niskie kompetencje. Ciekawsze jest tu co innego – polscy nauczyciele bardzo narzekali na przeciążenie i niedocenienie, a jednocześnie zapewniali, że świetnie sobie radzą z budowaniem relacji oraz emocjonalnym wspieraniem dzieci. Kiedy zestawimy to z wynikami badań PISA, w których polscy uczniowie narzekali na atmosferę w szkole i brak wsparcia ze strony nauczycieli (odczuwa je niewiele ponad 40 proc. przy średniej OECD na poziomie ok. 70 proc.), zobaczymy, że grupy te żyją w światach równoległych.

Potwierdzają to rozmowy, które przeprowadzam od kilku lat z dyrektorami szkół podstawowych i branżowych. Mówią oni wprost: mamy problem z najstarszą kadrą. Bez niej moglibyśmy zgasić światło, a jednocześnie jesteśmy bezradni wobec uwag zgłaszanych przez uczniów, bo nauczyciele ci są odporni na jakąkolwiek krytykę. Są święcie przekonani, że wykonują fantastyczną robotę, swoją krwawicą utrzymują system przy życiu, a przy tym spotykają się wyłącznie z niewdzięcznością. Pokazała to np. awantura o zadania domowe i sprawdziany – starsza kadra radzi sobie z grupą głównie wtedy, kiedy może ją dyscyplinować ocenami. Trudno się zatem dziwić, że pomysł Ministerstwa Edukacji Narodowej, aby stopniowo odchodzić od fetyszu ocen liczbowych, powoduje silny sprzeciw w środowisku. To trochę tak, jakby zabrać komuś młotek w sytuacji, w której nie potrafi posługiwać się innymi narzędziami. Znów trzeba dodać, że tak jak starsi nauczyciele jakoś sobie radzą (często używając przemocy symbolicznej), tak młodsi bywają kompletnie bezradni i szybko doświadczają wypalenia.

Czy można zatem stwierdzić, że mamy złych nauczycieli? Jestem ostatnim, który podpisałby się pod taką tezą. Uważam zresztą, że szukanie winnych czy gra w Czarnego Piotrusia to najgorszy sposób rozwiązywania problemów publicznych. Słabości polskich nauczycieli mają bowiem charakter strukturalny i wielopoziomowy. Zacznijmy od tego, że ich status społeczny jest niski, podobnie jak zarobki w pierwszych latach pracy. Na uczelnie pedagogiczne trafia niewielka grupa pasjonatów idealistów oraz masa przypadkowych ludzi, którym nie udało się dostać gdzie indziej. Od osób odpowiedzialnych za przygotowanie do zawodu odbieram sygnały o dramatycznej skali selekcji negatywnej – realną chęć pracy w szkole deklaruje mniej niż 10 proc. studentów.

A to dopiero początek. Standardy kształcenia nauczycieli są od lat poddawane krytyce, także ze strony samego środowiska. Niestety, z różnych powodów (w tym z powodu obstrukcji akademików) niewiele zmienia się na lepsze. Absolwenci opuszczają mury uczelni i trafiają do pracy w szkole często ze szczątkowymi kompetencjami w zakresie najnowszych metod dydaktycznych i marnym zasobem świeżej wiedzy z obszaru pedagogiki czy psychologii rozwojowej, w tym neurodydaktyki.

W szkole nie mogą zbytnio liczyć na wsparcie ani superwizję swojej pracy. Awans zawodowy ma głównie charakter administracyjny i polega na zbieraniu kwitów, a nie na realnym nabywaniu nowych kompetencji. Zresztą kto miałby pomagać w ich zbudowaniu, skoro starsi nauczyciele nierzadko mają gorsze umiejętności od tych, którzy dopiero wchodzą do zawodu. Oczywiście w wielu miejscach w kraju są wspaniałe centra doskonalenia nauczycieli, ale to kropla w morzu potrzeb, która nie zastąpi codziennej pracy w szkole. Tym bardziej że dyrekcje nie mają zasobów, aby inwestować w szkolenia. A nawet gdyby miały, to ze względu na ogromną liczbę wakatów niechętnie wypuszczałyby nauczycieli ze szkół. Współczesna edukacja przypomina wożenie pustych taczek – wiadomo, że trzeba biegać, by sprawiać wrażenie, że coś się dzieje, ale ma to niewiele sensu i przynosi coraz gorsze efekty.

Instytucje działają tylko wtedy, kiedy są oparte na zaufaniu. W szkole nikt nie ufa nikomu – rodzice, uczniowie, nauczyciele, dyrekcje, samorządy, kuratoria, ministerstwo, politycy. Większość zainteresowanych dba głównie o to, by mieć święty spokój. Zgodnie z biblijną zasadą: złe drzewo nie może rodzić dobrych owoców. W naszym systemie oświaty i obecnym kontekście społecznym nie możemy oczekiwać, że świetni nauczyciele pojawią się sami z siebie. Szkopuł polega na tym, że bez nich systemu nie da się zmienić.

Rozwiązanie tego problemu rodzi jeszcze więcej paradoksów. Zmiana będzie możliwa tylko wtedy, kiedy sami nauczyciele przyjmą do wiadomości, że nie są tak fantastyczni, jak się im wydaje. Tyle że jeśli to przyznają, potwierdzą społeczne wyobrażenia i wzmocnią sprzeciw wobec większych inwestycji w edukację, bez których nie można przeprowadzić poważnej reformy. Jeśli wbrew opinii większości Polaków nauczyciele nadal będą przekonywać, że są świetni, nie będzie żadnej motywacji do zmiany. Kwadratura koła.

Podobnie jak w przypadku szkolnych stołówek, o których pisałem przed tygodniem na łamach DGP, realne rozwiązanie jest jedno: trzeba odbudowywać zaufanie w szkołach na poziomie lokalnym, wspólnie z dyrektorami, nauczycielami, rodzicami, samorządami, a wreszcie – z samymi uczniami. Jeśli w kilkuset miejscach w kraju zmiana się uda, może się pojawić masa krytyczna do reform systemowych. Utopia? Możliwe, ale z samego narzekania na kiepskich nauczycieli nic nie wyniknie. ©℗

Autor jest publicystą, doktorem nauk ekonomicznych, adiunktem w Katedrze Stosunków Międzynarodowych UEK i członkiem Polskiej Sieci Ekonomii

eprasa.pl 05b73191d3

Gospodarka

Ukraińskie zboże szuka drogi

Rosyjskie ataki ponownie poważnie ograniczyły funkcjonowanie ukraińskich portów nad Morzem Czarnym. Kijów ma kilka dróg awaryjnych dla eksportu zboża. Polska w tej układance na razie zajmuje dalsze miejsce

Adrian
Sadłowski

Jeszcze w czerwcu wydawało się, że ukraiński eksport rolny wrócił na przedwojenną trasę. Około 90 proc. zbóż, nasion oleistych i produktów pochodnych znów wypływało przez Morze Czarne – niemal tyle samo, co przed 24 lutego 2022 r. Jednak już w lipcu udział szlaku czarnomorskiego w eksporcie spadł do ok. 80 proc., a kolejne rosyjskie ataki pogarszały sytuację: coraz częściej towary były wysyłane z opóźnieniem albo nawet odwoływano ich wywóz. A 14 sierpnia Rosja odrzuciła ideę rozejmu na Morzu Czarnym.

Nerwowość szybko rozlała się poza region. Od początku lipca notowania pszenicy na giełdzie w Chicago, jednym z najważniejszych światowych rynków terminowych produktów rolnych, wzrosły o kilkanaście procent, a importerzy w Azji i Afryce zaczęli się liczyć z koniecznością szukania droższych dostaw z innych kierunków. Rynek zbóż jest zglobalizowany, dlatego o cenach w Polsce w dużym stopniu decyduje sytuacja na rynku światowym. Zakłócenia eksportu z Ukrainy i Rosji ograniczają globalną podaż i zwiększają popyt na zboże z innych regionów, w tym z Polski, wywierając presję na wzrost cen – mówi Grzegorz Rykaczewski z Departamentu Analiz Makroekonomicznych Banku Pekao S.A. Zastrzega jednak, że taki impuls może być krótkotrwały: odbudowa eksportu z regionu Morza Czarnego doprowadziłaby do spadku cen.

Ukraina musi znów się mierzyć ze starym problemem: jeśli zboże nie może bezpiecznie wypłynąć z Odessy i sąsiednich portów, to trzeba znaleźć mu inną drogę. Z kolei dla Polski powracają pytania: czy część tego ziarna ponownie ruszy na zachód i północ? I czy tranzyt rzeczywiście pozostanie tranzytem?

Przed pełnoskalową rosyjską inwazją w 2022 r. Ukraina eksportowała średnio ok. 22,5 mln t kukurydzy, 17 mln t pszenicy i 4 mln t jęczmienia rocznie. Łączny eksport zbóż sięgał 40–51 mln t. Tak dużych potoków nie da się łatwo przenieść z jednego szlaku na drugi. Gdy główna droga traci drożność, są zasadniczo trzy możliwości: skierować zboże inną trasą, przechować je i czekać na poprawę sytuacji albo sprzedać bliżej – także na rynku UE.

Każde z tych rozwiązań ma swoją cenę. Objazd zwiększa koszty. Magazynowanie zamraża kapitał, a w warunkach wojny naraża zapasy na grabież lub zniszczenie. Z kolei większa sprzedaż do UE może wywoływać napięcia na lokalnych rynkach i komplikować relacje Kijowa z państwami członkowskimi.

Najpierw Dunaj

Gdy czarnomorskie porty głębokowodne, jak w Odessie, są zablokowane, Ukraina może przekierować wywóz do portów naddunajskich: Izmaiłu i Reni. To one odegrały ogromną rolę na początku wojny; w 2023 r. przeładowały rekordowe ponad 29 mln t różnych towarów, wśród których dominowały produkty rolne.

Droga z Izmaiłu na morze może przebiegać na kilka sposobów. Najkrótsza trasa prowadzi w dół Dunaju i przez ukraińskie ujście Bystre na Morze Czarne. Jeżeli ten tor wodny pozostaje dostępny, zboże jest ładowane na statki rzeczno-morskie, które po wyjściu na pełne morze płyną bezpośrednio do odbiorców. Tak obsługiwane są rynki Zakaukazia, Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej.

Jeśli Bystre jest niedostępne, pozostaje rumuńska Sulina. Statek z Izmaiłu musi najpierw pokonać krótki odcinek w górę Dunaju, a potem wypływa na Morze Czarne rumuńską odnogą Dunaju – przez Tulczę i Sulinę. Ta trasa jest nieco dłuższa, ale ma istotną zaletę: mogą z niej korzystać jednostki o większym zanurzeniu. Jeden statek może więc zabrać więcej zboża.

W obu przypadkach ładunek może ruszyć bezpośrednio do portu docelowego. Nie zawsze jednak to się opłaca. Przy większych partiach i odległościach atrakcyjniejsza może być trasa przez rumuński port czarnomorski – Konstancę.

Wielka przeładownia

Ten trzeci wariant trasy z Izmaiłu prowadzi najpierw w górę Dunaju do Cernavodă, a następnie kanałem Dunaj–Morze Czarne do Konstancy. Tu zmienia się sposób transportu. Zamiast małych statków stosowane są zestawy barkowe. Typowy konwój może się składać z pchacza i sześciu barek ustawionych w dwóch rzędach po trzy. Taki zestaw mieści się w śluzach kanału i może przewieźć kilkanaście tysięcy t zboża.

Konstanca jest jednym z największych węzłów zbożowych w regionie. Port może przyjmować zboże dostarczane barkami, koleją lub samochodami. Następnie ładowane jest ono na masowce oceaniczne. Część operacji odbywa się bezpośrednio z barki na statek, bez wcześniejszego wyładowania ziarna na ląd. W rekordowym 2023 r. Konstanca obsłużyła ok. 36 mln t zbóż. Blisko 14 mln t pochodziło z Ukrainy. To właśnie rumuński port jest najważniejszym węzłem awaryjnym dla ukraińskiego eksportu.

Ale nawet Konstanca nie ma nieograniczonej przepustowości. Gdy napływa bardzo dużo zboża, zaczyna się konkurencja o nabrzeża, terminale, magazyny, wagony, barki, statki i wolne terminy załadunku. Ukraińskie ziarno konkuruje wtedy o tę samą infrastrukturę z produktami rumuńskimi oraz z ładunkami z Mołdawii, Węgier czy Serbii.

W tym roku dochodzi jeszcze jeden problem: wyjątkowo niski poziom Dunaju. W drugiej połowie lipca przepływ rzeki przy wejściu do Rumunii spadł do ok. 1,7 tys. m sześc. na sekundę – to niespełna 40 proc. wieloletniej średniej dla lipca. W połowie sierpnia na wielu odcinkach nadal utrzymywały się rekordowo niski poziom wody. Dla transportu rzecznego oznacza to mniej zboża na jednej barce i mniej barek w zestawie. W skrajnych warunkach wykorzystanie ładowności barek może spaść do ok. 30 proc. Sześciobarkowe konwoje trzeba też rozpinać, by przez najtrudniejsze odcinki przeprowadzać je pojedynczo albo po dwie. To bardzo podnosi koszty przewozu.

Nic dziwnego, że Ukraina szuka możliwości ominięcia najbardziej problematycznych odcinków Dunaju. W sierpniu rozpoczęły się rozmowy z Mołdawią o zwiększeniu kolejowego tranzytu zboża przez jej terytorium do Konstancy. Potencjalna przepustowość takiego korytarza jest szacowana nawet na ok. 4,5 mln t rocznie.

Pokazuje to też ważną rzecz: szlak przez Rumunię nie jest jedną linią na mapie. Jego zaletą jest kilka sposobów wyprowadzenia zboża. Część ładunków wypływa na Morze Czarne bezpośrednio przez Sulinę, a te kierowane do Konstancy mogą docierać tam Dunajem, koleją lub samochodami.

Przez Adriatyk

Drugą z głównych południowych dróg awaryjnych jest szlak adriatycki. W tym wariancie ważną rolę odgrywają Záhony na Węgrzech i Czarna nad Cisą na Słowacji. To tam ukraiński szeroki tor spotyka się z unijną siecią kolejową. Dalej ziarno może jechać przez Węgry do portów północnego Adriatyku – chorwackiej Rijeki, słoweńskiego Kopru albo włoskiego Triestu.

Problem w tym, że dwie bramy wejściowe nie oznaczają dwóch całkowicie niezależnych korytarzy. W pewnym momencie potoki zbiegają się na wspólnej infrastrukturze prowadzącej na północne wybrzeże Adriatyku. Nawet jeśli na granicy można przyjąć więcej pociągów, wąskim gardłem może się więc stać dalszy odcinek sieci. Szlak adriatycki ma też inną wadę: wymaga dłuższego transportu lądowego niż trasa przez Rumunię. Porty Adriatyku są ponadto nieco bardziej oddalone od wielu tradycyjnych odbiorców ukraińskiego zboża.

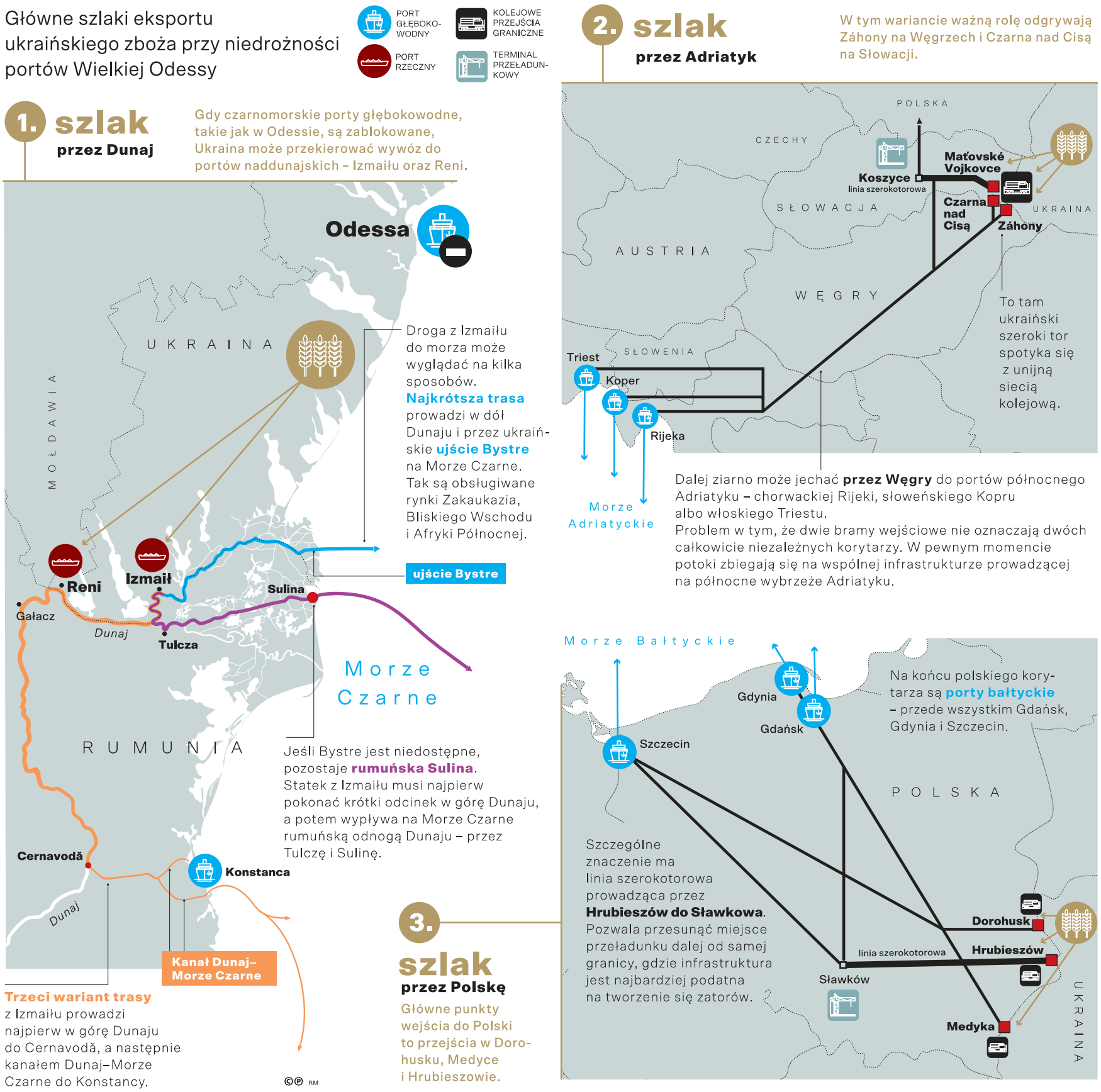
Mimo to kierunek adriatycki może być atrakcyjny dla Ukrainy, szczególnie dla ładunków pochodzących z zachodu kraju. Jeśli możliwości szlaków południowych – rumuńskiego i adriatyckiego – okazują się niewystarczające, rośnie znaczenie korytarza północnego prowadzącego przez Polskę.

Północna rezerwa

Z punktu widzenia Kijowa trasa przez Polskę nie jest najbardziej naturalnym wyjściem dla zboża przeznaczonego do Afryki Północnej, na Bliski Wschód i do Azji. To dłuższa droga lądowa, zakończona dopiero w portach Bałtyku i Morza Północnego. Stamtąd towar musi pokonać znacznie dłuższą drogę morską. Dlatego korytarz północny przegrywa kosztowo z Konstancą, a zwykle również z portami Adriatyku. Ma jednak zaletę, której nie należy lekceważyć: jest rezerwą. Jego znaczenie rośnie wtedy, gdy bardziej konkurencyjne trasy stają się niedostępne albo zaczynają się zatykać. ▷

eprasa.pl 05b73191d3

Główne szlaki eksportu ukraińskiego zboża przy niedrożności portów Wielkiej Odessy



Główne punkty wejścia do Polski to przejścia w Dorohusku, Medyce i Hrubieszowie. Istotną rolę może również odgrywać słowackie Maťovské Vojkovce. Szczególne znaczenie mają linie szerokotorowe prowadzące przez Hrubieszów do Sławkowa oraz przez Maťovské Vojkovce do Koszyc. Pozwalają przesunąć miejsce przeładunku dalej od samej granicy, gdzie infrastruktura jest najbardziej podatna na tworzenie się zatorów.

Zdaniem prof. Wojciecha Paprockiego z SGH wraz ze wzrostem ukraińskiego handlu zagranicznego obecna przepustowość polskiej infrastruktury może się okazać niewystarczająca. Zasadne jest kontynuowanie prac projektowych i przyspieszenie inwestycji zwiększających przepustowość dróg, linii kolejowych oraz terminali portowych – wskazuje.

Na końcu polskiego korytarza są porty bałtyckie – przede wszystkim Gdańsk, Gdynia i Szczecin. Doświadczenia z pierwszych lat wojny pokazały, że każdy pełnił trochę inną funkcję. Gdańsk przejął wówczas niemal cały tranzyt ukraińskich ładunków rolnych transportowanych w kontenerach. Szczecin obsłużył największy strumień zboża przewożonego luzem. Gdynia – choć jest największym polskim portem zbożowym – w samym tranzycie ukraińskiego ziarna odegrała mniejszą rolę.

Co ciekawe, w okresie od początku 2022 r. do końca sierpnia 2024 r. polskie porty przeładowały więcej ukraińskiego zboża w kontenerach niż luzem. To pokazuje, że Polska może być przydatna nie tylko jako droga dla wielkich masowych transportów. Kontenery i regularne połączenia liniowe pozwalają obsługiwać mniejsze partie towaru kierowane do rozproszonych odbiorców.

Profesor Włodzimierz Rydzkowski z Uniwersytetu Gdańskiego zwraca jednak uwagę, że w przypadku zwiększonego tranzytu zboża sam potencjał portów nie musi być najważniejszym ograniczeniem. Terminal jest tylko jednym z elementów całego łańcucha. Ograniczeniem może się okazać skup, magazynowanie albo transport kolejowy i drogowy – podkreśla. Jego zdaniem polskie porty dysponują obecnie rezerwą przeładunkową, a dodatkowo ich potencjał rośnie dzięki inwestycjom.

Pod względem wolumenu korytarz północny pozostaje jednak uzupełnieniem. Jego znaczenie rośnie przede wszystkim wtedy, gdy bardziej konkurencyjne szlaki południowe tracą drożność.

Wwóz albo przewóz

I właśnie tutaj zaczyna się problem z perspektywy Polski. Sam wzrost tranzytu nie oznacza kryzysu na rynku zbóż. Przewóz może wręcz przynosić korzyści polskim przewoźnikom, terminalom i portom. Ryzyko pojawia się wtedy, gdy granica między tranzytem a importem zaczyna się zacierać.

Tak było po rozpoczęciu pełnoskalowej wojny. Od marca 2022 r. do marca 2023 r. do Polski wjechało ponad 4 mln t ukraińskich zbóż i nasion oleistych. Według NIK zaledwie ok. 0,7 mln t przejechało przez Polskę tranzytem. Około 3,4 mln t pozostało w kraju. Skutki nie były widoczne od razu. Ilość ziarna stopniowo się kumulowała, a łatwa dostępność tańszego surowca zmniejszała zainteresowanie części odbiorców zbożem krajowym.

eprasa.pl 05b73191d3

Gdy problemy ujawniły się w pełnej skali, napięcie społeczne było już bardzo duże.

Dlatego obecnie pytanie nie brzmi: czy przez Polskę pojedzie więcej ukraińskiego zboża? Jeśli problemy z żeglugą na Morzu Czarnym będą się utrzymywać, część ładunków rzeczywiście może zostać skierowana na północ. Ważniejsze jest pytanie: co stanie się z tym zbożem po przekroczeniu granicy?

Kontyngent nie zawsze chroni

Na pierwszy rzut oka sytuacja jest dziś zupełnie inna niż w 2022 r. Nie obowiązuje już nadzwyczajne zawieszenie ceł i kontyngentów taryfowych na cały import z Ukrainy. W handlu rolnym wróciły ograniczenia, a państwa sąsiadujące z Ukrainą utrzymują również własne bariery dotyczące najbardziej wrażliwych produktów.

Od 2026 r. roczny unijny kontyngent bezcłowy wynosi 1,3 mln t dla towarów w grupie pszenicy, 1 mln t – w grupie kukurydzy i 450 tys. t – w grupie jęczmienia. Tyle że kontyngent nie jest tym samym, co limit importu. Po jego wyczerpaniu handel nie ustaje i towar może być nadal sprowadzany na ogólnych zasadach taryfowych.

Najciekawszy jest przypadek kukurydzy. Pod koniec lipca rozdysponowano mniej niż 1 proc. tegorocznego kontyngentu na to zboże. Można by z tego wyciągnąć prosty wniosek: importerzy nie są zainteresowani ukraińską kukurydzą. Tyle że byłby to wniosek błędny. Dla nieprzetworzonej kukurydzy innej niż siewna stawka celna poza kontyngentem wynosi obecnie zero euro za tę. Importer nie ma więc szczególnego powodu, by się ubiegać o udział w kontyngencie, ustanawiać zabezpieczenie i czekać na przydział, skoro może dokonać zwykłej odprawy z taką samą zerową stawką. W tym przypadku kontyngent istnieje, ale jego ekonomiczne znaczenie jest znikome.

Inaczej jest w przypadku jęczmienia, produktów przetworzonych oraz części towarów w grupie pszenicy, gdzie stawka zależy m.in. od jakości i szczegółowej klasyfikacji towaru. Dlatego stopień wykorzystania kontyngentu mówi przede wszystkim o zainteresowaniu konkretną preferencją taryfową. Nie pokazuje całego importu.

Polska bariera jest mocniejsza

Z punktu widzenia polskich rolników ważniejszym zabezpieczeniem jest coś innego: krajowy zakaz importu, który obejmuje m.in. kukurydzę i pszenicę. To właśnie on sprawia, że bezpośrednia powtórka kryzysu z 2023 r. jest dziś mniej prawdopodobna. Tranzyt pozostaje dozwolony, ale towar objęty polskim zakazem nie może zostać wprowadzony do obrotu na krajowym rynku.

Polska nie jest pod tym względem wyjątkiem. Słowacja blokuje m.in. import ukraińskiej kukurydzy, pszenicy i jęczmienia, dopuszczając ich tranzyt. Węgry utrzymują zakaz obejmujący szeroką grupę produktów rolnych, również pozwalając na tranzyt pod określonymi warunkami. Rumunia z kolei uzależnia dopuszczenie pszenicy i kukurydzy do swobodnego obrotu od uzyskania zgody.

Powstała więc mozaika krajowych zabezpieczeń. Problem w tym, że nie tworzą one spójnego systemu, bo różnią się listą produktów, konstrukcją prawną i warunkami przewozu. Komisja Europejska kwestionuje przy tym jednostronne restrykcje krajowe i wzywa państwa członkowskie do ich zniesienia.

Jest jeszcze trudność praktyczna. Jeżeli ukraiński towar zostanie legalnie dopuszczony do swobodnego obrotu w jednym państwie UE, staje się towarem unijnym i może się przemieszczać po wspólnym rynku bez rutynowych kontroli celnych na kolejnych granicach wewnętrznych. Krajowy zakaz oparty na pochodzeniu towaru jest wtedy znacznie trudniejszy do egzekwowania. Wymaga odpowiedniej identyfikacji produktu i wymiany informacji między właściwymi instytucjami. To jeden z powodów, dla których same krajowe bariery nie rozwiązują całego problemu.

Unia może reagować

UE ma również wspólny mechanizm ochronny. Od 29 października 2025 r. w handlu z Ukrainą obowiązują zmienione zasady, które pozwalają uruchomić klauzulę ochronną także wtedy, gdy poważne zakłócenia koncentrują się tylko w jednym lub kilku państwach członkowskich.

To ważna zmiana z perspektywy takich krajów, jak: Polska, Słowacja, Węgry czy Rumunia. Mechanizm nie działa jednak automatycznie. Zasadniczo konieczne jest uruchomienie odpowiedniej procedury, choć w razie potrzeby natychmiastowej reakcji środek ochronny może zostać zastosowany od razu. Ochrona na poziomie UE pozostaje więc w dużej mierze reaktywna. Najpierw musi się pojawić problem, a dopiero potem podejmowane jest działanie.

Podobnie wyglądał problem rekompensat po poprzednim kryzysie. Unia przeznaczyła na nadzwyczajną pomoc dla polskich rolników 29,5 mln euro, a Polska mogła dołożyć taką samą kwotę z własnego budżetu. Później Komisja Europejska zatwierdzała znacznie większe programy finansowane już na poziomie krajowym. W praktyce oznaczało to, że o skali rekompensat coraz bardziej decydowały możliwości finansowe i decyzje polityczne poszczególnych rządów. Koszty wspólnej polityki handlowej nie były więc dzielone całkowicie wspólnie.

Solidarność bez powtórki

Rosyjskie ataki na ukraińskie porty nie oznaczają automatycznie, że Polska znów stanie przed takim samym kryzysem zbożowym jak w 2023 r. Dziś istnieją bariery, których wtedy nie było. Najważniejszą z punktu widzenia naszego rynku jest zakaz importu ukraińskiej pszenicy i kukurydzy. Nie oznacza to jednak, że możemy problem uznać za rozwiązany.

Po pierwsze, zakaz nie obejmuje wszystkich zbóż i produktów pochodnych. Po drugie, jesteśmy częścią wspólnego rynku, na którym towar dopuszczony do swobodnego obrotu w jednym państwie może dalej krążyć po Unii. Po trzecie, nawet czysty tranzyt ma swoją cenę. Jeśli duży dodatkowy strumień zboża zostanie skierowany przez Polskę, wzrośnie zapotrzebowanie na wagony, lokomotywy, terminale przeładunkowe, magazyny i przepustowość portów. Gdy ładunki skumulują się w krótkim czasie, mogą zacząć konkurować z polskim zbożem o te same zasoby. Jednak sprawnie zorganizowany tranzyt może przynieść korzyści przewoźnikom i operatorom infrastruktury oraz pomóc Ukrainie utrzymać eksport bez wprowadzania ziarna na polski rynek.

Nie musi więc być sprzeczności między pomocą Ukrainie a ochroną polskich producentów. Warunkiem jest sprawny tranzyt połączony ze skutecznym oddzieleniem go od importu. Doświadczenia z lat 2022–2023 pokazały, jak poważne mogą być skutki, gdy duży strumień ukraińskiego zboża zamiast przejechać przez Polskę trafia na jej rynek.

Jeżeli rosyjska presja na Morzu Czarnym będzie się przedłużać, kolejnym testem stanie się już nie tylko odporność ukraińskiego eksportu. Sprawdzona zostanie także odporność całej środkowoeuropejskiej sieci transportowej. Polska może być jej ważnym elementem. Powinna nim być. A solidarność z Ukrainą nie musi oznaczać powtórzenia błędów sprzed trzech lat. ©℗


FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Adrian **Sadłowski**

doktor nauk ekonomicznych, adiunkt na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Zajmuje się makroekonomią, polityką rolną, handlem rolno-spożywczym i logistyką produktów rolnych


FOT. WOJTEK GÓRSKI

Koszmar w raju (podatkowym)

Piotr **Wójcik**

Upadłość giełdy Zondacrypto to cios nie tylko w powiązane z nią środowiska polityczne, lecz także w libertariańskie idee. Kryptowaluty miały być spełnieniem marzeń wolnorynkowców o odebraniu państwu monopolu na emisję pieniądza i swobodzie obrotu aktywami finansowymi. Szybko się okazało, że nieograniczony handel pieniędzmi cyfrowymi to doskonały sposób na stworzenie piramidy finansowej poza zasięgiem instytucji kontrolnych.

Krach Zondy nie jest pierwszym takim przypadkiem. Najgłośniejszy z nich to upadek w listopadzie 2022 r. amerykańskiej FTX, która w formie „pożyczki" wypłaciła 10 mld dol. z kieszeni klientów spółce Alameda Research, będącej własnością założyciela giełdy Sama Bankmana-Frieda (znanego jako SBF). Chociaż amerykański sąd potrzebował tylko roku, aby wydać pierwszy wyrok, postępowania apelacyjne ciągnęły się aż do czerwca 2026 r. Nawet w USA wymiar sprawiedliwości ma kłopoty z oceną działalności branży krypto. Ostatecznie podtrzymano karę 25 lat pozbawienia wolności dla nieuczciwego przedsiębiorcy.

Bankman-Fried prezentował się jako zwolennik tzw. efektywnego altruizmu. To pojemna doktryna, której fundamentem jest imperatyw maksymalizacji dobra. Zgodnie z przekonaniem, że przypływ podnosi wszystkie łodzie, efektywni altruiści starają się na wszelkie możliwe sposoby pomnażać swoje zasoby – oficjalnie po to, żeby przekazać zyski na szczytne cele. „Zarabianie, aby dawać" to motto wyznawanej przez SBF doktryny. Efektywny altruizm ma jednak dwie fundamentalne wady. Po pierwsze, przekazuje „troskliwym" bogaczom władzę decydowania o redystrybucji zgromadzonych dóbr. Nawet jeśli faktycznie większość dochodów idzie na sfinansowanie programów społecznych, ich wybór zależy wyłącznie od nich. W przypadku Bankmana-Frieda cele okazały się nie tylko wątpliwe, lecz wręcz absurdalne. SBF planował zakupić wyspiarskie państwo Nauru na Oceanie Spokojnym, by stworzyć tam przyjazne otoczenie regulacyjne dla ulepszania ludzkiego genomu oraz zbudować luksusowy bunkier na wypadek globalnej apokalipsy. Oczywiście ta niedoszła arka Noego pomieściłaby tylko właściciela i jego najbliższych, ale cóż – skoro nie da się uratować wszystkich, trzeba przynajmniej zadbać o los tych, którzy najsprawniej pomnażają dobro.

Drugą fundamentalną wadą efektywnego altruizmu jest skłonność jego wyznawców do realizacji swoich ambicji za wszelką cenę. Jeśli coś im się nie udaje, jest to wina przepisów, a nie kwestia złych planów. Chociaż SBF zarzekał się, że leży mu na sercu kondycja amerykańskiej demokracji (był nawet drugim największym darczyńcą komitetów politycznych wspierających Joego Bidena w wyborach w 2020 r.), w praktyce robił wszystko, by się z niej wymiksować. Swoje spółki ulokował w rajach podatkowych. Główna siedziba FTX znajdowała się na Bahamach, zaś Alameda Research znalazła przystań w Hongkongu. W praktyce efektywny altruizm okazuje się więc co najwyżej empatycznym libertarianizmem.

Podobnie jak SBF Sylwester Suszek, założyciel BitBay, czyli poprzedniczki Zondy, w wywiadach wielokrotnie opowiadał o swojej działalności charytatywnej, a w szcze- ▷

eprasa.pl 05b73191d3

gólności o wpłatach na Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy. O jego szczodrości entuzjastycznie pisała też sama WOŚP. „Kursy kryptowalut są zmienne, ale niezmienna jest hojność posiadających je ludzi. Udowadnia to organizowana przez giełdę BitBay zbiórka cyfrowych walut na rzecz wyrównywania szans w leczeniu noworodków. W trakcie trwania akcji udało się już zebrać równowartość ponad 50 000 pln! (...) Dzięki cyfrowym walutom dzieje się wiele dobra!" – czytamy w komunikacie WOŚP z 11 stycznia 2018 r.

Suszek razem ze współpracownikami przeniósł swoje spółki do przyjaźniejszych miejsc – najwyraźniej w celu pomnażania dobra. Gdy osiem lat temu Komisja Nadzoru Finansowego wpisała giełdę na listę ostrzeżeń, a polskie banki nie chciały obsługiwać jej rachunków, firma uciekła najpierw na Maltę, a następnie do Estonii i Dubaju. W wywiadach wideo dla Parkietu Suszek ubolewał nad koniecznością wyprowadzki do rajów podatkowych, opowiadając przy tym, jak bardzo dumny jest ze stworzenia rozpoznawalnej na świecie i kojarzonej z Polską platformy finansowej. Innymi słowy spółki Suszka miały nie tylko być biznesem, lecz także wzbogacać wspólnotę narodową. „Zawsze będziemy mówić, że BitBay był polski, bo przecież stąd wyszliśmy" – podkreślał kryptoprzedsiębiorca.

Głośne przypadki przenosin spółek do Estonii czy Dubaju są dobrym pretekstem dla wolnorynkowców, by forsować pomysł budowy raju podatkowego nad Wisłą. Skoro inne państwa mogą zarabiać na rezydentach podatkowych szukających schronienia przed opresyjnymi systemami, to dlaczego nie przejąć ich modelu? Obniżenie danin, liberalizacja przepisów dotyczących przepływu kapitału i zapewnienie większej anonimowości mogłyby przyciągnąć do Polski kapitał, który zwiększyłby nasze PKB, a co za tym idzie – dobrobyt narodu. Jeśli mówić językiem efektywnego altruizmu: należy robić wszystko, by zmaksymalizować korzyści, jakie państwu i jego obywatelom może zapewnić globalny rynek finansowy. Zamiast ideologicznego zacietrzewienia, które skłania do „karania" zamożnych ludzi za bogactwo, racjonalniej będzie otoczyć ich opieką i liczyć na wzajemność. Przecież chodzi o to, by wszystkim żyło się lepiej. O ile zwolennicy finansowego libertarianizmu całkiem sprawnie kreślą metody przyciągnięcia kapitału, o tyle nie idzie im tłumaczenie, w jaki tajemniczy sposób te pieniądze zaczną pracować na dobro wspólne.

Bahamy, Panama i inne raje podatkowe to popularne miejsca ukrywania dochodów z działalności przestępczej i oszczędności zachomikowanych przez polityków, głównie z krajów autorytarnych. Do tego również służą kryptowaluty, choć najczęściej są po prostu zakładane fikcyjne spółki prawa handlowego. Skandal „Panama Papers" rozpoczął się od wycieku danych rezydentów podatkowych tego niewielkiego państwa w Ameryce Środkowej. Z tej oazy korzystali m.in. Władimir Putin (za pośrednictwem sieci zaufanych ludzi), Xi Jinping i przywódcy Arabii Saudyjskiej, Pakistanu i Ukrainy (w tym Petro Poroszenko). W rajach podatkowych chętnie lokują swoje majątki również postsowieccy oligarchowie, o czym przypomniał niedawny zamach na Wadima Jermołajewa w Monako. Pytanie, czy przyciąganie do kraju szemranych postaci i ich interesów jest korzystne. Może to się wiązać nie tylko z nową falą incydentów kryminalnych, takich jak wspomniany zamach w Monako, lecz także ze wzrostem przestępczości finansowej – często w interesie obcych państw lub ich obywateli. Estonia ma obecnie na głowie sprawę upadłości Zondacrypto i roszczenia polskich wierzycieli o wypłatę środków.

Skuszony brakiem regulacji kapitał zazwyczaj nie grzęźnie długo na lokatach bankowych. Jego właściciele nie inwestują w badania i rozwój czy budowane od zera fabryki, lecz w projekty zapewniające szybki zwrot. W pierwszej kolejności mowa o zakupie nieruchomości, z czego jest znana szczególnie Wielka Brytania. W Londynie są już całe dystrykty należące do arabskich szejków czy rosyjskich oligarchów. Polacy zapewne by się nie cieszyli, gdyby część Warszawy, Krakowa i Gdańska opanowali naftowi książęta, rodziny dyktatorów i bogacze z Europy Zachodniej. To zjawisko jest niekorzystne także z ekonomicznego punktu widzenia, bo prowadzi do wzrostu cen nieruchomości, a co za tym idzie – spadku dostępności mieszkań. Według Eurostatu w 2024 r. koszt utrzymania lokalu mieszkalnego w Irlandii sięgał 187 proc. średniej w Unii Europejskiej (w 2010 r. 117 proc.), w Luksemburgu 178 proc., a w Szwajcarii aż 214 proc. W Polsce było to 49 proc. (w 2010 r. 44 proc.). W szwajcarskich miastach na mieszkanie wydaje się średnio 18 proc. dochodu rozporządzalnego, w Luksemburgu 10 proc., a w polskich miastach 5,7 proc.

Zwolennicy radykalnej liberalizacji sektora finansowego mogą w tym momencie zauważyć, że dzięki napływowi kapitału podnoszą się również płace. Faktycznie, w unijnych rajach podatkowych są one nominalnie wyższe. Eurostat podaje, że w 2025 r. przeciętna płaca godzinowa w Irlandii wynosiła aż 44 euro, na Cyprze 22 euro, a w Estonii 21. W Polsce i na Malcie było to 19 euro. Warto jednak zwrócić uwagę na różnice w cenach. W Irlandii stanowią one 136 proc. średniej UE, w Estonii 101 proc., na Malcie 92 proc., na Cyprze 89 proc., a w Polsce 73 proc. Realna wartość wynagrodzenia przemawia więc na korzyść naszego kraju. Przeciętna stawka na godzinę pracy według parytetu siły nabywczej wyniosłaby w Irlandii 32 euro, w Polsce 26 euro, na Cyprze 25 euro, a w Estonii i na Malcie 21 euro.

Co więcej, w gospodarkach nastawionych na produkcję rozkład dochodów jest dużo bardziej egalitarny niż w liberalnych centrach finansowych. W 2025 r. obrazujący poziom nierówności indeks Giniego wyniósł w Polsce 25 (im bliżej zera, tym mniejsze dysproporcje) – to piąty najniższy w Unii. W Irlandii było to 27, na Malcie 29 (równy



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Ostrożniejsza wiara w mądrość rynków

Artur Klimek

Rynki finansowe wiedzą najlepiej i funkcjonują sprawnie bez sygnałów płynących z banku centralnego, które mogą wręcz zakłócać optymalny przebieg procesów ekonomicznych. Rezerwa Federalna (Fed) powinna pełnić funkcję niezależnego arbitra, który obserwuje, ale sam nie uczestniczy w rozgrywkach. W ten sposób można podsumować wnioski z pierwszych publicznych wystąpień nowego szefa Fedu Kevina Warsha. Aż do ostatniego piątku sierpnia, kiedy to wygłosił on wyczekiwane przemówienie na konferencji w Jackson Hole. Rozpoczęło ono nerwowe odliczanie do kolejnej decyzycji amerykańskiego banku centralnego w sprawie stóp procentowych.

Milczący bank centralny

Mimo że we wcześniejszych komunikatach Warsh podkreślał wiodącą rolę mechanizmów ekonomicznych, jego komentarze nie spotykały się z przychylnością obserwatorów i uczestników rynków. Uwagi bankiera zasiały niepewność co do działań Fedu wobec uporczywie utrzymującej się podwyższonej inflacji. Cel inflacyjny został ustalony na 2 proc. (mierzony roczną zmianą wskaźnika cen wydatków konsumpcyjnych), a w lipcu wyniosła ona aż 3,7 proc. Dlatego cały świat finansów oczekiwał od szefa Rezerwy Federalnej jasnego przekazu.

Warsh unikał dotychczas deklaracji na temat polityki monetarnej. Podkreślał, że bank centralny powinien mniej mówić, a bardziej skupić się na pracy. W ostatnich miesiącach rynki finansowe musiały też się przyzwyczaić do braku tzw. forward guidance. Zwrot ten nie doczekał się jeszcze zgrabnego tłumaczenia na język polski, ale można go rozumieć jako zapowiedź parametrów polityki monetarnej. Jest to niekonwencjonalne narzędzie banku centralnego służące komunikowaniu prawdopodobnych działań w zakresie kosztu pieniądza. Europejski Bank Centralny tłumaczy wprost, że jasne sygnalizowanie zamiarów decydentów monetarnych ma pomóc bankom udzielać kredytów, a przedsiębiorcom sięgać po finansowanie przy przewidywalnym oprocentowaniu. Rynek może odbierać te zapowiedzi jako obietnice realizacji określonej polityki monetarnej. Jednocześnie nie jest trudno wywołać błędne oczekiwania, których zakładnikami staną się właśnie banki centralne.

Zapowiedzi polityki monetarnej zostały wprowadzone przez Fed jako pokłosie kryzysu z 2008 r. Bankierzy centralni wyrośli wówczas na gwiazdy rynków finansowych – każde słowo i gest Kevina Warsha czy Christine Lagarde są dogłębnie analizowane. Szef Rezerwy Federalnej przyznał, że choć osobiście brał udział w tworzeniu tego podejścia, jego rola się wyczerpała. Kryzys minął, więc narzędzia polityki monetarnej powinny być inne. Czy aby na pewno? Jeden kryzys się skończył, ale nadeszły kolejne negatywne wydarzenia, które wymagają jeszcze większej przejrzystości i przewidywalności od banków centralnych, szczególnie tak ważnego jak Fed.

W złożonych i dynamicznych warunkach łatwo się pomylić w prognozowaniu przyszłości. Pomyłka może się odbić na wiarygodności banku centralnego. Kevin Warsh podał przykład wskazówek Rezerwy Federalnej w 2021 r., kiedy nie zapowiedziano wzrostu inflacji i stóp procentowych. Ówczesny szef Fed Jerome Powell, a także inni bankierzy centralni podkreślali tymczasowość impulsów inflacyjnych. Skończyło się wysoką inflacją, która nadal trapi wiele gospodarek.

Zdecydowana walka z inflacją

Głównym tematem konferencji w Jackson Hole były innowacje płatnicze. Dziedzina raczej techniczna, interesująca dla osób ze świata finansów, a nie dla szerszej rzeszy obserwatorów gospodarki. Dlatego oczekiwania wobec wystąpienia Warsha nie były wysokie. Polityka monetarna mogła nawet się w nim nie pojawić. A jednak rola Fedu w zapewnianiu stabilności cen została w przemówieniu wyraźnie podkreślona.

Warsh zaczął od wspomnienia o wycieczkach górskich z oficjelami Fedu. Można by przejść nad tym do porządku dziennego, ale bankier centralny użył słowa „hike", które oznacza też „podwyżkę". Co więcej, słowo to padło kilkukrotnie już w pierwszych minutach wystąpienia.

Szef Fedu podkreślił konieczność opierania się na precyzyjnych danych. „Niefiltrowane" sygnały rynkowe powinny pochodzić z analizy cen akcji, rentowności obligacji, kursów walutowych, dostępności kredytów i cen surowców. Oznacza to, że Warsh nie zmienił zasadniczego podejścia do roli banku centralnego, lecz zwrócił uwagę na potrzebę zdecydowanego działania w walce z inflacją. Rynki odebrały to jastrzębio, co doprowadziło do wzrostu rentowności amerykańskiego długu i umocnienia dolara.

W gruncie rzeczy Warsh zobowiązał się do podwyżek stóp, jeśli tempo wzrostu cen nie zwolni. Inwestorzy zaczęli wyceniać zacieśnienie polityki monetarnej jeszcze w trakcie przemówienia. Pojawiły się oczekiwania nie tylko jednej podwyżki stóp procentowych w tym roku, lecz nawet dwóch.

W kolejnych dniach po konferencji w Jackson Hole na rynkach panowała duża zmienność. Najpierw za sprawą członka Rady Gubernatorów Fedu Christophe-

eprasa.pl 05b73191d3

średniej unijnej), a w Estonii i na Cyprze 31. Wpuszczenie do kraju w dużej mierze spekulacyjnego kapitału na papierze zwiększyłoby więc PKB, ale byłby on skupiony w rękach wąskiej grupy osób, niekiedy uwikłanych w podejrzane interesy.

Nieprzypadkowo to małe kraje zamieniają się w raje podatkowe. Za wyjątek można uznać ponad 18-milionową Holandię, która od wieków jest mocarstwem handlowym. Największe państwa UE, w tym Polska, mają dużo więcej obowiązków, zadań i interesów do ochrony. Pod względem wyzwań nasz kraj wyróżnia się dziś szczególnie – musi w błyskawicznym tempie rozbudowywać siły zbrojne i jednostki specjalne, stworzyć skuteczny system obrony cywilnej, przeprowadzić transformację energetyczną i naprawiać państwową ochronę zdrowia. To dlatego wydatki publiczne w 2025 r. wyniosły 51 proc. PKB – był to szósty najwyższy wynik w Unii. Prześcignęliśmy już nieco nawet Niemcy i Szwecję (ok. 50 proc. PKB). Nad Polską znalazły się Finlandia, Francja, Belgia i Włochy z wydatkami w przedziale 54–57 proc. PKB. Na ostatnich trzech miejscach wylądowały unijne raje podatkowe: Irlandia (21 proc.), Malta (37 proc.) i Cypr (40 proc.). Osobnym przypadkiem jest Estonia, która przeznacza rekordowe kwoty na zbrojenia – jej wydatki wyniosły 45 proc. PKB.

Polska powinna jak najszybciej podwyższyć podatki, żeby zbilansować budżet, a nie tworzyć bezpieczne schronienie dla miliarderów i fikcyjnych spółek, które zagroziłoby naszemu modelowi rozwoju. To model oparty również na inwestycjach zagranicznych – w zakłady przemysłowe i projekty typu greenfield, które nie uciekną za granicę przy kolejnym kryzysie. Tacy inwestorzy biorą pod uwagę nominalne koszty pracy liczone po kursie rynkowym, a te są w Polsce prawie dwukrotnie niższe od średniej UE (19 euro/h wobec 35 euro/h). Uwzględniają też lokalne ceny czy dostęp do pracowników i dostawców. Mamy wiele przewag. Warszawa może przyciągać inwestorów m.in. najlepszą w regionie siecią dróg, dużą powierzchnią uzbrojonego terenu i licznymi centrami logistycznymi z ogromnymi magazynami.

Najbardziej wartościowym zasobem naszego kraju jest wykwalifikowana siła robocza, dzięki której możemy wytwarzać przeróżne części, podzespoły, materiały i gotowe produkty. Odpowiadają za to elektrycy, mechanicy, kierowcy tirów, automatycy, budowlańcy i analitycy produkcji. Sylwester Suszek, Rafał Zaorski czy Sam Bankman-Fried kreują wirtualne pieniądze, które w każdej chwili mogą się rozpłynąć. Wojny w Ukrainie i Iranie pokazały, że o sile państwa będzie decydować zdolność do masowego i szybkiego wytwarzania konkretnych produktów, często podwójnego zastosowania. Polsce nie potrzeba kapitału spółek, które mają filie ulokowane w skrzynkach pocztowych. ©℗

ra Wallera, którego wypowiedź osłabiła oczekiwania zacieśnienia polityki monetarnej. Krótko potem ukazały się dane z amerykańskiego rynku pracy potwierdzające niską stopę bezrobocia (4,1 proc.). Liczba utworzonych miejsc pracy przebiła oczekiwania (prognozowano ok. 55 tys., a powstało 162 tys.), choć ich struktura studzi optymizm. Raport o zatrudnieniu dostarczył argumentów za podwyżką stóp we wrześniu, a oczkiwania te zostały potem wzmocnione przez wysokie odczyty inflacji producenckiej i konsumenckiej.

O ile po wypowiedzi Wallera rynki wyceniały prawdopodobieństwo podwyżki na równi z utrzymaniem dotychczasowego poziomu, o tyle w kolejnych dniach nasilało się jastrzębie nastawienie. Na dzień przed decyzją Fedu szanse na podwyżkę o 25 pkt bazowych wynosiły 90 proc.

Wrześniowa decyzja jest szczególnie drażliwa politycznie, bo przypada przed wyborami śródokresowymi do Kongresu. Donald Trump doszedł do władzy, obiecując, że ograniczy wzrost cen. Podwyżka stóp procentowych może zostać zinterpretowana jako porażka w rozprawie z drożyzną. Choć jest ona wynikiem kolegialnej decyzji Federalnego Komitetu ds. Otwartego Rynku, została zakomunikowana przez jego przewodniczącego, czyli Warsha, który również za nią zagłosował. Dla przypomnienia: jego poprzednik Jerome Powell, ostro krytykowany przez prezydenta, od września 2024 r. stopniowo obniżał stopy procentowe.

Czas na podpowiedzi

Po co w ogóle analizować słowa Kevina Warsha? Ponieważ stoi na czele najważniejszego banku centralnego, który emituje i ustala koszt kluczowej waluty, wykorzystywanej zarówno w realnych gospodarkach, jak i na rynkach finansowych. Wysokość stóp procentowych w USA ma przełożenie na koszt pieniądza w wielu krajach. Kryzys azjatycki, który wybuchł w 1997 r., był pośrednio związany z podwyższeniem stóp procentowych w Stanach Zjednoczonych, co zwiększyło atrakcyjność tamtejszych obligacji i doprowadziło do ucieczki kapitału z rynków wschodzących. Na dodatek duże korporacje w państwach azjatyckich były zadłużone w dolarach, które zyskały mocno na wartości, co znacząco zwiększyło koszty obsługi długu.

Podwyżka stóp i jastrzębie sygnały płynące z Fed mogą schłodzić rynek akcji, a także utrudnić działania Departamentu Skarbu, który niedawno zapowiedział interwencje na rynku długu w celu obniżenia jego oprocentowania. Sekretarz skarbu Scott Bessent stwierdził wręcz, że rynki przy wycenie amerykańskich obligacji nie widzą właściwych fundamentów. Istniał więc rozdźwięk między działaniami rządu, który nie wierzył w sprawne funkcjonowanie rynków finansowych, a nowym szefem Fedu, który uważał je za doskonale funkcjonujące mechanizmy. Obecnie zarówno z Rezerwy Federalnej, jak i z Departamentu Skarbu płyną sygnały, że rynkom trzeba „podpowiedzieć" właściwy kierunek. ©℗

Autor jest profesorem Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu

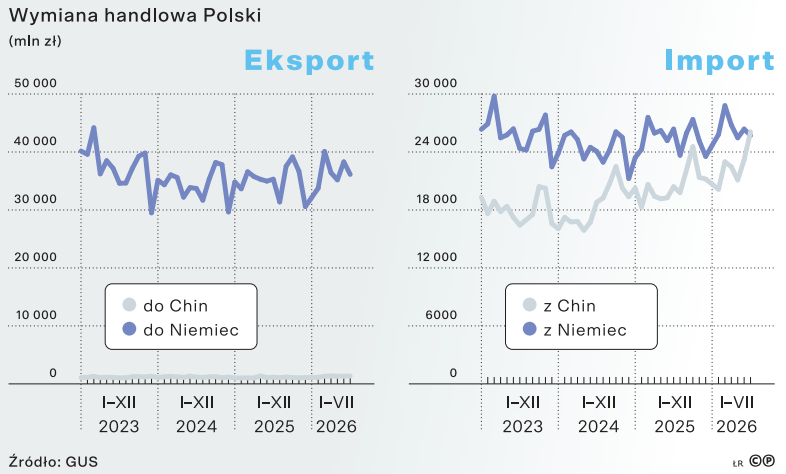


Mniej Więcej

Łukasz
Wilkowicz

Samochody motorem wzrostu importu z Chin

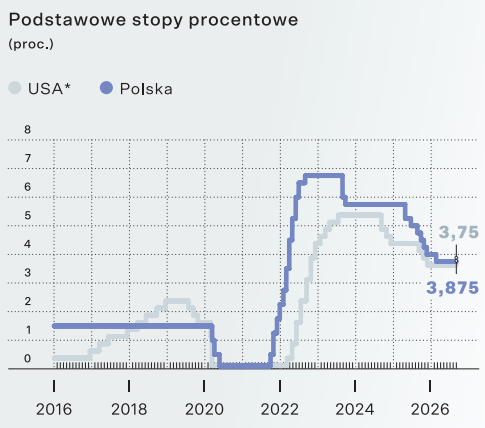
Ursula von der Leyen w dorocznym „orędziu o stanie Unii" mówiła m.in. o potrzebie zmniejszenia zależności od Chin, którą obrazuje gigantyczny deficyt handlowy krajów Wspólnoty z Państwem Środka. A u nas Chiny właśnie stały się największym zagranicznym dostawcą towarów, wyprzedziwszy dotychczasowego lidera, czyli Niemcy. W lipcu wartość polskiego importu z Państwa Środka przekroczyła 26 mld zł. W pierwszych siedmiu miesiącach tego roku była więc o 14 proc. większa niż rok wcześniej. W przypadku Niemiec wzrost nie przekroczył 3 proc. Trzy najważniejsze grupy towarów sprowadzanych przez nas z Chin to elektronika, maszyny i samochody. W tej ostatniej kategorii import w pierwszych siedmiu miesiącach tego roku był o ponad połowę większy niż rok wcześniej. ©℗



Źródło: GUS ŁR ©℗

Wyższa stopa Amerykanów

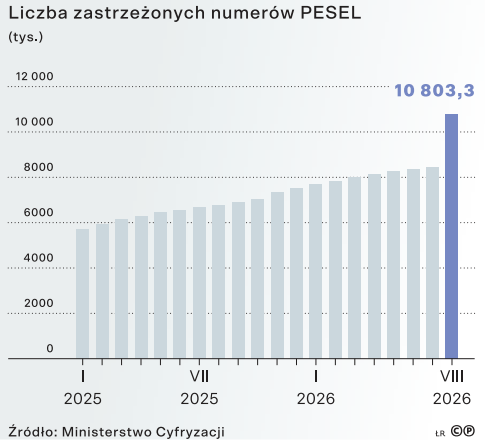
Rezerwa Federalna, bank centralny Stanów Zjednoczonych, podniosła przedział, w którym jest utrzymywana główna stopa procentowa, o 0,25 pkt proc. do 3,75–4 proc. Do środy, czyli do momentu podwyżki, górna granica tego przedziału był na poziomie stopy referencyjnej Narodowego Banku Polskiego. Teraz stopa NBP wynosi tyle, co dolna granica przedziału Amerykanów. W rezultacie stopy procentowe w USA są wyżej niż w Polsce. Dla globalnych inwestorów oznacza to zmniejszenie atrakcyjności naszego rynku, co może negatywnie się odbić na kursie złotego. ©℗



Źródła: BIS, banki centralne * środek przedziału ŁR ©℗

Efekt MyDr

W sierpniu łączna liczba zastrzeżonych numerów PESEL przekroczyła 10 mln – tak wynika z danych Ministerstwa Cyfryzacji. W tym jednym miesiącu zastrzeżono 2,3 mln numerów, podczas gdy wcześniej miesięczne przyrosty nie przekraczały średnio 150 tys. Powód wydaje się oczywisty: jest nim wyciek danych medycznych, który dotknął kilkunastu milionów Polaków. Zastrzeżenie nie cofnie wycieku, ale pozwoli zabezpieczyć się przed wzięciem przez przestępców kredytu lub pożyczki na nasze nazwisko albo podpisaniem umowy z operatorem telekomunikacyjnym. ©℗



Źródło: Ministerstwo Cyfryzacji ŁR ©℗

eprasa.pl 05b73191d3

Historia

Perska ilustracja przedstawiająca oblężenie Bagdadu przez Mongołów w 1258 r.



FOT. DE AGOSTINI/J. E. BULLOZ/NPL-DEA PICTURE LIBRARY/EAST NEWS

Oblężenie. Sztuka cierpliwości

Od tysięcy lat człowiek rozwija metody prowadzenia wojen. Ale i tak często się okazuje, że jeśli chce wygrać, musi się wykazać cierpliwością

Sebastian

Pawlina

Sukces wymaga czasu. Cywilizacje zmieniające bieg dziejów, wodzowie wyrąbujący sobie drogę do nieśmiertelności (i nienawiści dużej części świata), monarchowie i politycy naginający do swojej woli rzeczywistość i karki milionów, nie od razu osiągali cele, którymi zbudowali sobie pomniki trwalsze niż ze spiżu. Niekiedy procesy te trwały tyle, że ich początków nikt niemal nie pamięta. Obrastają licznymi opowieściami, z których trudno wyłowić prawdę.

Spójrzmy na Bagdad, który żyje w cieniu niekończących się legend. Według pierwszej z nich jego założyciel, Abu Dżafar al-Mansur, żyjący w VIII w. drugi kalif z dynastii Abbasydów, zatrzymał się pewnego razu w chrześcijańskim klasztorze. Mieszkający w nim mnisi poczęstowali go obiadem i opowiedzieli o przepowiedni, zgodnie z którą niedaleko powstanie wspaniałe miasto. Al-Mansur uznał, że to on winien zrealizować tę wizję i rozpoczął budowę Bagdadu, który nazwał Madinat as-Salam, czyli Miastem Pokoju. Szybko stało się ono znaczącym ośrodkiem, zachwycającym przepychem, architekturą, współistnieniem różnych kultur czy miejscami takimi jak Dom Mądrości, Bajt al-Hikma, zwany również Wielką Biblioteką Abbasydów.

Założona w 830 r. przez kolejne ponad cztery wieki zgromadziła trudną dzisiaj do oszacowania liczbę książek i manuskryptów, skarbów arabskiej kultury, w tym licznych tłumaczeń z greki czy perskiego. Ale cała ta mądrość i bogactwo nie uchroniły miasta przed upadkiem.

Źródła upadku

Początku końca kalifatu bagdadzkiego należy szukać na początku XIII stulecia, gdy na Bliskim Wschodzie pojawili się Mongołowie. Abbasydzi początkowo radzili sobie z nimi, ale podczas gdy przybysze uparcie dążyli do ostatecznego zwycięstwa, kalifowie trwali w przekonaniu, że są niepokonani. Przełom nastąpił w 1251 r.: wtedy wielkim chanem, przywódcą ludów Wielkiego Stepu, został Mongke, wnuk Czyngis-chana. Dwa lata później wysłał on swojego młodszego brata Hulagu, aby ten podbił Bliski Wschód.

Sama ta wyprawa nie była jeszcze zagrożeniem dla Bagdadu. Dla jego politycznej niezależności tak, ale nie dla samego istnienia. Mongołowie oczekiwali bowiem jedynie tego, że kalif Al-Mustasim uzna zwierzchność Mongke-go i wesprze wyprawę wojenną Hulagu, której głównym celem było zniszczenie nizarytów – jednego z odłamów w islamie – zwanych również asasynami. W orędziu rozesłanym do innych islamskich władców, w tym Al-Mustasima, Hulagu głosił, że idzie „z zamiarem zburzenia twierdz heretyków i przepędzenia tej hałastry". Zapowiadał również, że ci, którzy wyruszą razem z nim, zostaną oszczędzeni, a ich majątki nienaruszone. Ale jeśli zignorują wezwanie, to po pobiciu nizarytów „nie wysłuchując usprawiedliwień, zwrócimy się przeciw wam". Jak w „Burzliwych dziejach kalifatu bagdadzkiego" pisał Jerzy Hauziński, żądanie to spełnili niemal wszyscy – od władców sułtanatu Azji Mniejszej po drobniejszych rządzących z terenów Iraku, Azerbejdżanu czy Gruzji.

Kalif był wyjątkiem. Choć oficjalnie zadeklarował posłuszeństwo, to nie wykonał pozostałych kroków, których oczekiwali Mongołowie. To zachowanie wynikało z przynajmniej dwóch przyczyn wyrastających ze słabości Al-Mustasima, w tym jego niecierpliwości czy też ulegania wpływom. Przede wszystkim był pewien, że jego dynastia przetrwa wszystko. Bo faktycznie Abbasydzi nieraz już musieli radzić sobie z zagrożeniem z zewnątrz.

Od tego przeświadczenia o własnej nietykalności groźniejsze były polityczne zawirowania wokół kalifa. W tym samym czasie, gdy Mongołowie zgodnie z planem rozprawiali się z asasynami, w Bagdadzie trwała niemal otwarta wojna pomiędzy wezyrem nadzorującym władzę cywilną a dowódcami wojskowymi. Ten pierwszy był zwolennikiem współpracy z Hulagu, podczas gdy armia, a za nią większość ludności, wolała wojnę. Kalif nie umiał zdecydować, po czyjej stronie stoi. Zamiast samemu wyznaczyć cele, skupił się na walce o tron. Bardziej bał się pałacowego przewrotu niż potężnej armii.

Obawy te nie były bezpodstawne. Jeden z dowódców, cieszący się szczególną popularnością, chciał wykorzystać do przejęcia władzy powódź, która nawiedziła miasto pod koniec lata 1256 r. Jak pisał jeden z ówczesnych kronikarzy, mężczyzna „zjednał sobie włóczęgów oraz obiboków i w krótkim czasie doszedł do znacznej siły. Gdy umocnił swą pozycję i ujrzał kalifa Mustasima w niezdecydowaniu, nierozsądku i łatwowierności, zasięgnął wówczas rady niektórych dostojników, jak by to go usunąć, a na jego miejsce posadzić kogoś innego z rodu [tych] to Abbasydów". Dziejopis nie pozostawia wątpliwości, że w Bagdadzie nic nie działało jak należy. Ale kalifat cały czas miał cień nadziei na uratowanie się.

Hulagu Cierpliwy

Wiosną 1257 r. Hulagu był gotowy do wymierzenia kary za nieposłuszeństwo. Brat wielkiego chana nie miał jednak zamiaru od razu rzucać się do walki. Wiedział, że wojnę zawsze zdąży rozpocząć. Na razie postanowił dać Al-Mustasimowi szansę. Wysłał do niego list, w którym wytknął mu, że poza zapewnieniem o uległości nie zrobił niczego, co by dowodziło jego oddania wielkie-

eprasa.pl 05b73191d3

mu chanowi. Zażądał, aby kalif zburzył umocnienia otaczające miasto i przybył do niego, względnie przysłał godne zastępstwo. Żeby zaś tamten nie miał wątpliwości, że tym razem konsekwencje za niewypełnienie polecenia mogą być poważne, dodał: „Chociaż dom wasz stary jest i wielki, i widział potężny ród, [jednakże] blask Księżyca utrzymuje się do tej pory, dopóki skrywa się błyszczący krąg Słońca". Jasne było, kto w tym układzie jest Księżycem, a kto Słońcem.

I może na tym historia by się skończyła, bo kalif przez moment miał nawet zamiar się ukorzyć. Ale pałacowe rozgrywki ponownie zachwiały nim. Grupa skupiona wokół wojskowych nie zgadzała się na układy. W efekcie Al-Mustasim zamiast zrobić to, czego chcieli Mongołowie i co mogłoby ocalić Bagdad, zasugerował im, aby się wycofali ze swoich żądań. Groził, że jeśli dalej będą szukali wojny, to ją dostaną – i przegrają.

W tym momencie Hulagu powinien był już stracić cierpliwość. Ale albo miał jej olbrzymie pokłady, albo uznał, że przeciągając rozmowy, lepiej się przygotuje do starcia. Rozpoczął więc montowanie wyprawy na męczącego go przeciwnika. Przede wszystkim pozbierał oddziały rozrzucone po dużej części Bliskiego Wschodu. I poprosił astrologów o przepowiednie. Nie było to nic niespotykanego. Szukanie wyjaśnień czy znaków od bóstw było normą, elementem świadomości tamtych ludzi. W starożytności była to powszechna praktyka. Gdy w 480 r. p.n.e. Grecy szykowali się do wojny z Persją, wysłali do wyroczni w Delfach pytanie, co powinni zrobić, zaś Rzymianie przed podejmowaniem ważnych decyzji, w tym wojskowych, wróżyli z ptasich wnętrzności. W pewnej formie przeszło to na kolejne epoki.

Ale wnuk Czyngis-chana poszedł w tym jeszcze dalej. Nie ograniczył się do zwykłego wysłuchania astrologów. Ponieważ dwóch zapytanych wygłosiło odmienne wizje przyszłości – jeden głosił porażkę, drugi triumf – zorganizował im konfrontację przypominającą debatę. Obaj mogli w jej trakcie wysuwać swoje argumenty i zbijać te przeciwnika. Finalnie górą był optymista. Ta pozornie zabawna historyjka odsłania sposób myślenia Hulagu. Wiedział zapewne, że kalifat nie jest dla niego równorzędnym przeciwnikiem, a i tak nie chciał niczego zostawić przypadkowi. Rozumiał doskonale, że aby oblężenie, do którego niechybnie dojdzie, stało się zaledwie finałem długich przygotowań, szykując się do niego, nie mógł zaniedbać niczego. Miał jednak z czego się uczyć.

Kto kogo oblega?

Sztuka oblężnicza zaczęła się rozwijać na długo przed rozgrywką między kalifatem a Mongołami. Obserwowanie jej kolejnych etapów i analiza poszczególnych historii dowodzą, że zdobywanie dużego miasta otoczonego murami jest jednym z najbardziej zaawansowanych zadań na wojnie. Nie wystarczy bowiem jedynie podprowadzić wojska, otoczyć cel i rozstawić machiny wojenne (a później artylerię). Oblężenie to cały skomplikowany system, w którym argumenty siłowe są ważne na równi z umiejętnością nadzorowania zaawansowanej operacji logistycznej czy sięganiem po zagrywki psychologiczne.

Jednym z najlepszych na to dowodów jest historia oblężenia Alezji w 52 r. p.n.e. Nieistniejące już miasto, które było położone w połowie drogi między dzisiejszymi Dijon i Auxerre, stało się sceną decydującej batalii między plemionami galijskimi dowodzonymi przez Wercyngetoryksa a legionami Gajusza Juliusza Cezara, w wojnie, której stawką była cała Galia. Obie strony postawiły wówczas wszystko na jedną kartę, gromadząc dużą część swoich sił.

Patrząc na to, gdzie i jak położona była Alezja, mogło się wydawać, że to Cezar jest w trudniejszej sytuacji. „Samo miasto leżało wysoko na wierzchołku wzgórza tak, że tylko oblężeniem można je było zdobyć. Podnóże tego wzgórza oblewały z dwóch stron dwie rzeki. Przed miastem ciągnęła się równina długości około trzech tysięcy kroków rzymskich; ze wszystkich pozostałych stron miasto otaczały w niezbyt wielkiej od niego odległości wzgórza o jednakowej z nim wysokości", pisał Cezar w „O wojnie galijskiej".

Po początkowych starciach prowadzonych na przedpolach miasta oraz wobec faktu, że nocą z Alezji na zewnątrz wydostawali się wysłannicy Wercyngetoryksa, mający za zadanie ściągnięcie pomocy dla oblężonych, Rzymianie zdecydowali się zbudować własne umocnienia. W niedługim czasie miasto opasał ciągnący się na długość 15 kilometrów system rowów, murów i pułapek, takich jak „lilie". Za tą uroczą nazwą nawiązującą do kształtu kwiatu kryła się śmiercionośna konstrukcja. Do głębokich dołów wkopywano zaostrzone pale, które następnie przykrywano łoziną i chrustem. „Przed tymi jamami wkopywano w ziemię paliki długie na stopę z powbijanymi w nie żelaznymi hakami; w niewielkich od siebie odstępach były one wszędzie porozmieszczane. Mówiono na nie «bodźce»" – notował Cezar.

Ale to nie wszystko. Zapobiegliwi Rzymianie zbudowali identyczne konstrukcje skierowane w stronę Alezji oraz na zewnątrz, z obozami umieszczonymi pomiędzy nimi. Okazało się to znakomitym posunięciem, bowiem faktycznie byli atakowani z obu stron. Doprowadziło to do sytuacji przedziwnej, ale później w historii nie tak rzadko spotykanej, w której oblegający sami stali się oblegani. Przenikliwość Cezara oraz oddanie legionistów sprawiły, że umocnienia ani razu nie zostały przełamane.

Podobnie jednak Rzymianie nie przedarli się za umocnienia miasta. Okazało się jednak, że nie musieli. Sukces przyniosła im bowiem bitwa, w której rozbili odsiecz plemion galijskich. Obrońcy otoczonej Alezji pozbawieni nadziei na ratunek niedługo później sami się poddali.

Głodem i mieczem

Za klęską Galów stały jednak nie tylko przyczyny czysto wojskowe. Geniusz inżynieryjny Rzymian oraz zwycięstwo w decydującym starciu odegrały niemałą rolę, ale kto wie, czy klucz do takiego a nie innego finału nie tkwił w samej Alezji, a dokładniej w tym, czego w niej szybko zabrakło – w zapasach pożywienia. Gdy Galowie zauważyli, że jedzenia jest coraz mniej, zdecydowali się na drastyczny krok. Wszystkich, którzy nie mogli być wsparciem w walce, a więc starych i chorych, wyrzucono z miasta. Wypchnięci przez swoich ruszyli w stronę wroga.

„Gdy podeszli do umocnień Rzymian, zaklinając się wśród łez na wszelkie świętości, błagali, aby potraktowani jak niewolnicy dostali tylko od nich coś do jedzenia. Ale Cezar, wystawiwszy na wale straże, zakazał ich przyjmować" – notował lubujący się w pisaniu o sobie w trzeciej osobie Gajusz Juliusz, który jednak więcej już o tych nieszczęśnikach nie pisał.

A los tych ludzi był straszny. Jak podawał Kasjusz Dion, rzymski historyk żyjący ok. 200 lat po omawianych wydarzeniach, niechciani przez żadną ze stron zmarli z głodu na ziemi między murami Alezji i rzymskimi umocnieniami. Przeciwnicy Cezara wytykali mu tę sprawę jako dowód jego okrucieństwa. Tak samo oczywiście winny był Wercyngetoryks. Co więcej, Rzymianie i tak nie mieliby czym wykarmić tych ludzi. Głód doskwierał wszystkim.

Brak pożywienia mógł odegrać znaczącą rolę podczas oblężenia. Podobnie jak choroby, zmęczenie fizyczne i psychiczne, niezadowolenie zarówno wśród obleganych, jak i oblegających, chłód, upał, brud. Wszystko, co osłabiało ciało i ducha.

Pełnego zestawu tych przeżyć doświadczyli uczestnicy oblężenia Akki (dziś miasto w Izraelu), które rozpoczęło się w sierpniu 1189 r. Samo to, że do niego doszło, było splotem kilku wydarzeń. Dwa lata wcześniej wojska muzułmańskie dowodzone przez Saladyna najpierw w bitwie pod Hittin pokonały armię chrześcijan, a następnie zdobyły Jerozolimę. Wśród pokonanych doszło do sporów, których efektem była wyprawa jednego z dowódców, Gwidona z Lusignan, pod kontrolowaną przez muzułmanów Akkę. Idąc tam, nie miał żadnego planu poza tym, że zdobycie jej miało pomóc mu w odbudowaniu własnej pozycji.

Początkowo mogło się wydawać, że niewielkie siły atakujących nie mają większych szans na powodzenie. Tym bardziej że oblężonym na pomoc ruszył Saladyn. I wtedy historia zaczęła przypominać wydarzenia spod Alezji. Chrześcijanie zbudowali bowiem wokół miasta system umocnień, który z jednej strony był skierowany w stronę Akki, a z drugiej – w kierunku oddziałów przybyłych z odsieczą. Pomiędzy nimi zaś rozbili obóz. I ponownie oblegający stali się jednocześnie obleganymi.

Pomiędzy tymi dwoma historiami była jedna, ale znacząca różnica. O ile Cezar otoczył Alezję szczelnie, o tyle Akkę, leżącą nad morzem, było zdecydowanie trudniej odciąć od możliwości otrzymywania wsparcia i zaopatrzenia. W efekcie wojska muzułmańskie oraz chrześcijańskie regularnie dostawały pomoc przypływającą wodą, co przełożyło się na oblężenie trwające 23 miesiące. W jego trakcie doszło do licznych bitew, na ziemi i na morzu, szturmów na mury, wypadów zza murów, a przybycie licznych zastępów rycerzy z Europy, prowadzonych przez królów Anglii i Francji, zapoczątkowało III krucjatę.

Akka przez niemal dwa lata była istnym konglomeratem narodowościowym, w którym każdy z uczestników skupiał się tak na samej walce, jak i na próbie przetrwania dłużej niż przeciwnik. Wydaje się, że w trakcie starć o miasto nikt do końca nad wszystkim nie panował.

Mądrość wieków

Możemy założyć, że Hulagu znał przebieg walk pod Akką. Pomiędzy zdobyciem miasta przez wojska chrześcijan w 1191 r. a kampanią na Bliskim Wschodzie nie minęło nawet 70 lat. A jeśli chaos panujący wtedy był mu znany, to niewątpliwie chciał go uniknąć. Nie był to jednak wyłącznie jego kaprys, ale sposób, w jaki Mongołowie prowadzili wojny. Każda kolejna była dla nich lekcją, polem doświadczalnym, okazją do wyłapania i wyeliminowania błędów. Oblężeń uczyli się od kilku dekad.

Źródłem ich wiedzy często stawali się specjaliści z pobitych armii. Zamiast ich zabijać czy wysyłać do pracy fizycznej, korzystali z ich wiedzy, umiejętności, pomysłów. Dzięki temu ich sposób prowadzenia walki, także o miasta, nieustannie ewoluował. Z armii, która siała postrach wyłącznie jazdą, stali się ekspertami od rozłupywania murów. Bagdad był tego kolejnym dowodem. Ale przez tempo samego oblężenia być może najbardziej spektakularnym.

Patrząc na sposób, w jaki młodszy brat wielkiego chana przygotował się do zdobycia stolicy kalifatu, nietrudno zauważyć, że robił wszystko, aby każdy kolejny krok przybliżał go do zwycięstwa. Gdy w grudniu 1257 r. dotarł pod mury miasta, wszystko było gotowe. Nie było nikogo, kto mógłby przyjść kalifowi z pomocą. Samo miasto zaś zostało opasane tak szczelnym kordonem, że nawet rzeką nie można było się wydostać na zewnątrz. Sam Cezar nie zrobiłby tego lepiej.

Oczywiście Al-Mustasim wraz ze swoimi dowódcami i doradcami niemało się przyłożyli do tego. Przede wszystkim kilkukrotnym ignorowaniem żądań oraz prowokowaniem do wojny. Już gdy przeciwnik się zbliżał, wysłano do niego żądanie opuszczenia granic kalifatu. Odpowiedź pełna była poczucia (uzasadnionej) wyższości. „Nie po to przebyliśmy taką drogę, ażeby powrócić, nie ujrzawszy się. Po gościnie, zobaczeniu się i rozmowie za jego [tj. kalifa] przyzwoleniem odejdziemy".

Armia Mongołów potrzebowała zaledwie kilku tygodni, aby zdobyć miasto. Kalif i dowódcy zostali zamordowani, a wraz z nimi tysiące mieszkańców. Bagdad zapłonął. Dorobek pięciu stuleci znikał w ogniu i wodzie. Księgozbiór z Bajt al-Hikma w dużej części został wrzucony do rzeki Tygrys, która wedle legendy zabarwiła się na czarno od tuszu ściekającego z gęsto zapisanych stronic. Ich skórzane oprawy wcześniej odrywano i robiono z nich sandały. W końcu Hulagu nakazał zakończyć tę arię zniszczenia. Miasto było już w końcu jego. Doczekał się. ©℗

eprasa.pl 05b73191d3

Niemcy do zbombardowania

Olbrzymia przewaga dawała aliantom nadzieję, że pokonają III Rzeszę z pomocą lotnictwa. Ale równanie z ziemią całych miast nie zmusiło Hitlera do kapitulacji

Andrzej
Krajewski

Wojna Rosji z Ukrainą staje się starciem zdominowanym przez urządzenia latające. Obie strony starają się maksymalnie wykorzystywać potencjał lotnictwa, rakiet czy dronów do zadawania ciosów przeciwnikowi. Licząc, że w końcu zabraknie mu chęci, aby kontynuować walkę. Różnicę czyni to, że celem ataków Rosjan jest przede wszystkim ludność cywilna, zaś Ukraińcy starają się uderzać w zasoby wroga. Z czasem może to mieć spore znaczenie. O czym przekonali się alianci podczas II wojny światowej.

Humanitaryzm i wojna

Po tym, jak 1 września 1939 r. rozpoczął się atak Niemiec na Polskę, z Waszyngtonu wysłano do Berlina, Londynu, Paryża, Rzymu i Warszawy apel prezydenta Franklina D. Roosevelta. „Bezlitosne bombardowania z powietrza ludności cywilnej (...), które szalały w różnych częściach świata w ciągu ostatnich kilku lat, w wyniku czego okaleczonych zostało i poniosło śmierć tysiące bezbronnych mężczyzn, kobiet i dzieci, poruszyły serca cywilizowanych mężczyzn i kobiet" – oznajmiał polityk, odnosząc się tak do cierpień cywilów podczas wojny w Hiszpanii i na chińskich ziemiach podbijanych przez Japończyków. Tymczasem rozpoczynający się w Europie konflikt groził tym, że znów dojdzie do „nieludzkiego barbarzyństwa". Roosevelt apelował więc do walczących stron, by „w żadnym wypadku i pod żadnym pozorem nie podjęły bombardowania z powietrza ludności cywilnej ani nieufortyfikowanych miast, pod warunkiem że te same zasady prowadzenia wojny będą skrupulatnie przestrzegane przez wszystkich ich przeciwników". Domagał się też natychmiastowej odpowiedzi.

Pierwszy udzielił jej ambasador Wielkiej Brytanii w Waszyngtonie. „Rząd JKM przyjął politykę, aby w przypadku zaangażowania się w działania wojenne (...) ograniczyć bombardowanie do celów ściśle wojskowych, pod warunkiem że te same zasady będą przestrzegane przez wszystkich jego przeciwników" – odpisał prezydentowi USA. Oświadczenie podobnej treści przekazał również Adolf Hitler. Nim je napisał, Luftwaffe zdążyła tuż przed piątą rano 1 września zrównać z ziemią Wieluń, zabijając ok. 1 tys. jego mieszkańców. Bomby spadły też tego dnia m.in. na Warszawę, Kraków, Poznań, Gdynię, Katowice i Łódź. Po deklaracji Führera nic się nie zmieniło. Niemieckie lotnictwo starało się zabić jak największą liczbę Polaków.

Natomiast na zachodzie miasta oszczędzano aż do 11 maja 1940 r., kiedy to Luftwaffe zbombardowała Amsterdam. Dzień wcześniej Niemcy rozpoczęły ofensywę, uderzając na Francję przez terytorium Holandii. Natrafiły jednak na rozpaczliwy opór i Holendrzy odwlekali decyzję o kapitulacji. Dlatego 14 maja prawie 90 bombowców Heinkel He 111 zrównało z ziemią centrum Rotterdamu. Zginęło wówczas ponad 800 mieszkańców miasta, a ok. 80 tys. straciło dach nad głową. Następnego dnia Holandia skapitulowała.

Tymczasem w Londynie skompromitowanego Neville'a Chamberlaina na stanowisku premiera zastąpił Winston Churchill. Nowy szef rządu postanowił radykalnie zmienić strategię użycia sił powietrznych. Już w drugim dniu urzędowania, 11 maja, polecił rozpoczęcie bombardowania Niemiec. Dotyczyło to jedynie celów militarnych – linii kolejowych, stacji przeładunkowych, portów. Od początku wojny rząd Zjednoczonego Królestwa bał się jak ognia takiej decyzji. Słusznie spodziewając się, że niemieckie lotnictwo zacznie wówczas atakować angielskie miasta.

Jednak to, co stało się w Holandii (zbrodnie Luftwaffe w Polsce mało kogo obeszły), dowodziło, że naloty na Wielką Brytanię są jedynie kwestią czasu. Alianci przegrywali wojnę, więc Churchill postanowił uderzać pierwszy. „20 czerwca 1940 r. rozszerzono definicję celu wojskowego tak, by obejmowała również obiekty przemysłowe, a to oznaczało, że bombardowane mogły być również osiedla robotnicze sąsiadujące z fabrykami" – opisuje w książce „Już nie żyjesz. Historia bombardowań" Sven Lindqvist.

W tym czasie trwały naloty Luftwaffe na cele za kanałem La Manche. Początkowo były to lotniska, stacje radarowe, porty i zakłady przemysłowe. Hitler i marszałek Hermann Göring zakładali, że wyeliminują one stopniowo lotnictwo brytyjskie. Ale działo się odwrotnie, bo brytyjski przemysł uzupełniał straty, zaś piloci zestrzelonych samolotów często uchodzili z życiem. Z kolei żaden niemiecki lotnik po zestrzeleniu nie miał szansy na powrót za kanał La Manche. Zatem to Luftwaffe wykrwawiała się szybciej.

W odpowiedzi Hitler postanowił zmienić strategię i sięgnąć po ulubiony przez siebie terror. 7 września 1940 r. na niebie nad Londynem pojawiło się 350 bombowców, by zrzucić na miasto 440 t bomb. Zginęło ok. 430 cywilów. Jednak ważniejsze okazało się to, że jakiekolwiek samoograniczanie się walczących stron w wojnie powietrznej definitywnie dobiegło końca.

W stronę bombardowania totalnego

Mimo trwających dwa miesiące nalotów na Londyn i inne miasta Churchill ani myślał kapitulować. Ignorował też napływające z Berlina sygnały mówiące, że Hitler chętnie podpisałby z Wielką Brytanią układ pokojowy. Oferując gwarancję istnienia imperium brytyjskiego, pod warunkiem, że uzna ono panowanie III Rzeszy nad kontynentalną Europą.

Churchill, nie ufając takim propozycjom, przekreślił możność porozumienia, eskalując konflikt. „31 października (1940 r. – red.) RAF otrzymał rozkaz zbombardowania niemieckich miast. Tydzień później brytyjskie bombowce zaatakowały Monachium, kolebkę nazizmu. Po kolejnych siedmiu dniach Niemcy odpowiedzieli nalotem na Coventry" – pisze Sven Lindqvist. „Wówczas oficjalnie porzucono fikcję o niszczeniu wyłącznie punktowych celów wojskowych w miastach na rzecz «bombardowania obszarowego» (nalotów dywanowych), mającego wywołać burze ogniowe i uniemożliwić gaszenie pożarów" – uzupełnia.



Pod koniec 1940 r. jasne stało się, że powietrzną bitwę o Anglię Niemcy przegrały. Zaś zabicie prawie 30 tys. cywili podczas bombardowań nie wpłynęło na bieg wojny. Acz wzbudziło wśród obywateli Zjednoczonego Królestwa olbrzymią determinację, by walczyć do zwycięstwa. Nadzieję na nie przyniosły kolejne pociągnięcia Hitlera w 1941 r.: najpierw atak na ZSRR, potem wypowiedzenie wojny Stanom Zjednoczonym. To ostatnie oznaczało, że nieuchronnie nadejdzie moment, gdy Luftwaffe będzie się musiała zmierzyć z przeciwnikiem górującym nad nią liczebnie i technologicznie.

Jednocześnie swoim zamiłowaniem do wojny totalnej Führer zniósł bariery moralne, mogące sprawiać, że Amery-

AUTOPROMOCJA



eprasa.pl 05b73191d3



FOT. EVERETT COLLECTION/SHUTTERSTOCK

Bombowiec 8 Armii Powietrznej USA niszczy zakłady lotnicze w Marienburgu. 9 października 1943 r.

kanie będą się samoograniczać podczas atakowania z powietrza Niemiec. Brytyjczycy po atakach na Londyn i zmasakrowaniu Coventry (bomby zburzyły lub uszkodziły jedną trzecią budynków w mieście) samoograniczać się nie zamierzali. Acz na to, by zacząć zadawać wrogowi bolesne ciosy, potrzebowali czasu.

Rok 1941 upłynął RAF-owi na nocnych nalotach, rzadko przynoszących sukcesy. „W sierpniu 1941 r. (...) badanie oparte na zdjęciach zwiadowczych, wykazało, że 33,3 proc. wysłanych samolotów nie zaatakowało celu. Co więcej, spośród tych, którym się to udało, tylko 33,3 proc. zbombardowało cel w promieniu pięciu mil, czyli 26 400 stóp (8047 m.). Celność bombardowań strategicznych była żałosna, a błędy często mierzono nie w jardach, ale w milach" – opisują w opracowaniu „What Did We Do To Germany During The Second World War? A British Perspective On The Allied Strategic Bombing Campaign 1940-45" Joseph F. Ryan i Christopher J. Hewer.

Zrzucenie na głowy Niemców przez rok 31,7 tys. t bomb właściwie nie zmieniło niczego w funkcjonowaniu machiny wojennej III Rzeszy. Zatem zaczęto tworzyć plany lądowej inwazji, by otworzyć w Europie drugi front. Jednak próbny desant w połowie sierpnia 1942 r. pod Dieppe zakończył się klęską. Churchill uznał więc, że nim drugi front powstanie, należy uzyskać całkowite panowanie w powietrzu i gruntownie zniszczyć Niemcy bombardowaniami. Aby ich armia straciła zdolność do stawiania oporu, a gospodarka do produkcji sprzętu militarnego na dużą skalę.

W tym czasie zaczęła nadciągać odsiecz z USA w postaci 8 Armii Powietrznej. Zaowocowało to w 1942 r. wzrostem łącznej wagi bomb zrzuconych na terytorium Niemiec do ponad 47 tys. t. Mimo to III Rzesza miała się całkiem dobrze. Zatem dowodzący 8 Armią gen. Ira C. Eaker postanowił zmienić taktykę. Amerykańskie bombowce, głównie B-17, lecąc za dnia w ciasnych formacjach, tworzonych przez setki maszyn, zaczęły atakować przemysłowe dzielnice niemieckich miast. Bez oglądania się na silną obronę przeciwlotniczą oraz myśliwce Luftwaffe. Byle tylko podczas precyzyjnego nalotu zmieść z powierzchni ziemi fabryki wraz z pracującymi w nich ludźmi. Tę koncepcję zwalczał dowódca RAF-u marszałek Arthur Harris. Jego zdaniem bawienie się w naloty precyzyjne nie miało sensu, gdy można było wykorzystać potencjał Latających Fortec do nalotów dywanowych. „Poprosił swój sztab, by jasno i wyraźnie przyznał, że celem ofensywy lotniczej było «zniszczenie niemieckich miast i ich mieszkańców»" – podkreśla Lindqvist.

Zaciekły spór między oboma dowódcami musieli osobiście załagodzić premier Churchill i prezydent Roosevelt podczas spotkania w Casablance w styczniu 1943 r. Przywódca USA wolał już nie pamiętać o własnym apelu z początku wojny. Zatem zgodził się na kompromis: siły dowodzone przez Harrisa będą nocami niszczyć niemieckie miasta, zaś Eaker pokieruje dziennymi nalotami precyzyjnymi.

W praktyce i one zaczęły się zmieniać w naloty dywanowe, siejące powszechne zniszczenie. Tego, jak olbrzymie mogło być, doświadczyli nocą z 27 na 28 lipca mieszkańcy Hamburga, zbombardowanego przez 787 bombowców RAF-u. „W tym jednym nalocie straciło życie więcej ludzi niż podczas wszystkich niemieckich ataków lotniczych na brytyjskie miasta" – pisze Lindqvist o śmierci ponad 50 tys. mieszkańców miasta. „Poprzedzająca operację fala upałów i wywołana nią niska wilgotność powietrza uczyniły budynki jeszcze łatwiejszymi do spalenia. Większość oddziałów straży pożarnej znajdowała się daleko od zaatakowanych dzielnic i próbowała gasić ogień wywołany przez wcześniejsze naloty. Tysiące ognisk szybko złączyły się w wielką burzę ogniową zasysającą masy powietrza do swojego centrum, konsumującego cały tlen. Pożar osiągnął siłę orkanu" – uzupełnia. Użycie bomb zapalających sprawiło, że większość ofiar spłonęła żywcem lub udusiła się w schronach z powodu temperatury i braku tlenu.

Terror zamiast jasnego celu

W 1943 r. alianckie lotnictwo zrzuciło na Niemcy ok. 201 tys. t bomb, ponad cztery razy więcej niż rok wcześniej. Tymczasem niemal równie szybko rosła niemiecka produkcja zbrojeniowa. Zarządzający nią minister uzbrojenia Albert Speer okazał się genialnym organizatorem, potrafiącym podporządkować gospodarkę Niemiec oraz podbitych krajów temu jednemu celowi. „Nasza zdolność do zwiększania produkcji pomimo nalotów musiała być jedną z przyczyn, dla których Hitler nie traktował poważnie bitwy powietrznej o Niemcy" – zapisał Speer we wspomnieniach.

Na Führerze to, że alianckie bomby zabijały setki tysięcy Niemców, nie robiło większego wrażenia. Byli oni przecież jedynie nieuniknionymi ofiarami, koniecznymi dla jego zwycięstwa. Ale ofensywa powietrzna dopiero nabierała mocy, choć intensywnie rozbudowywana niemiecka obrona przeciwlotnicza zestrzeliła w 1943 r. ok. 3,4 tys. alianckich bombowców. Rok później strącono ich już ponad 5 tys. (ogólnie podczas wojny ponad 16 tys. ciężkich bombowców). Mimo to naloty obróciły w ruinę dziesiątki niemieckich miast. Ulubionymi celami stały się: Essen – bombardowane 28 razy, Berlin – 24 razy, Kolonia – 22 razy. Liczba cywilów zabitych podczas nalotów dywanowych porażała. Liczące niespełna 60 tys. mieszkańców Pforzheim bombowce zmiotły z powierzchni ziemi 23 lutego 1945 r. Śmierć poniosło tamtego dnia ok. 20 tys. ludzi. „Mimo to w 1944 r. Niemcy wyprodukowały 55 tys. nowych samolotów bojowych i 30 tys. czołgów" – podkreśla w książce „Inżynierowie – tajna armia Hitlera" Blaine Taylor. Najwięcej od początku wojny.

Marszałek Harris z nawiązką pomścił Londyn i Coventry, lecz jego strategia nie przybliżała zwycięstwa. Zaś gen. Eakera zastąpił na stanowisku dowódcy 8 Armii Powietrznej w styczniu 1944 r. gen. James „Jimmy" Doolittle. To początkowo dało Harrisowi pełną swobodę działania. Tymczasem Speer rozpoczął olbrzymi program budowy podziemnych sztolni w masywach górskich, by tam ukrywać najcenniejsze linie produkcyjne. Rozpraszał też lokalizację nowych zakładów z dala od wielkich miast. Co ciekawe, po wojnie ulubieniec ▷

eprasa.pl 05b73191d3

Führera w wywiadzie przeprowadzonym przez dziennikarza „Playboya" Erica Nordena oznajmił: „Alianci nie zdawali sobie z tego sprawy, ale w 1943 r. mieli zwycięstwo w zasięgu ręki. W sierpniu tego roku przystąpili do serii niszczycielskich, skutecznych nalotów na wytwórnie łożysk tocznych, kluczowych dla naszej produkcji zbrojeniowej. Obezwładniając to najważniejsze, newralgiczne centrum, mogli całkowicie zatrzymać naszą produkcję broni". Tak Speer przyznawał, że to gen. Eaker miał rację. Zabicie przez bomby 12 tys. mieszkańców Darmstadt 12 września 1944 r. czy 25 tys. mieszkańców Drezna w połowie lutego 1945 r. znaczyło dla przebiegu wojny o wiele mniej niż skuteczne zbombardowanie jednej fabryki łożysk.

Ale to, jak bardzo niewłaściwie wybierano cele nalotów na Niemcy, dostrzegł dopiero gen. Carl Andrew Spaatz, który na początku 1944 r. objął stanowisko dowódcy Strategicznych Sił Powietrznych USA w Europie. Przełamać opór Harrisa i Doolittle'a, pragnących burzyć miasta, pomógł mu dopiero w połowie 1944 r. głównodowodzący siłami alianckimi gen. Dwight Eisenhower. Przygotowując lądowanie w Normandii, zrozumiał, że Niemcy nie będą mogły walczyć bez paliwa. Bez niego zostaną im zaprzęgi konne i piechota, pozbawiona wsparcia najnowocześniejszych rodzajów broni.

Regularne dostawy paliw syntetycznych gwarantowało niemieckim silom zbrojnym 25 wielkich wytwórni. Spaatz połączył kropki i skierował potężne siły powietrzne nad odpowiednie cele. A skoro miał do dyspozycji ok. 4 tys. ciężkich bombowców, sprawa nie przedstawiała się zbyt kłopotliwie. „Do końca maja 1944 r. niemiecka produkcja paliw syntetycznych zmniejszyła się o ponad połowę, a alianckie naloty z czerwca i lipca owego roku zadały tej gałęzi przemysłu Rzeszy ostateczny cios: produkcja spadła o 98 proc." – wylicza Blaine Taylor.

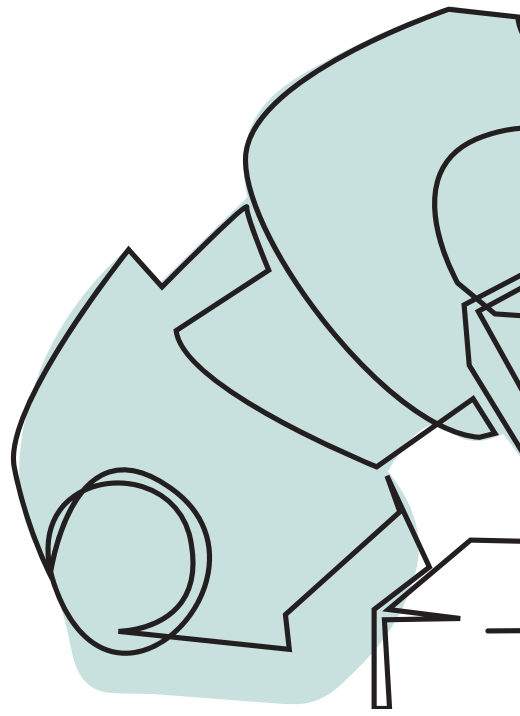
Acz Speer się nie poddawał. Po wojnie znany ekonomista John Kenneth Galbraith, który go przesłuchiwał, zapisał w protokole: „Nie udało mu się odbudować systematycznie bombardowanych zakładów paliw syntetycznych, ale uważał, że podejmował godne uwagi starania w tym kierunku – ponad 330 tys. ludzi skierowano do renowacji tych zniszczonych przedsiębiorstw". Ale Speer zdołał odtworzyć jedynie 10 proc. dawnych mocy produkcyjnych. Gdy pod koniec 1944 r. przygotowywano ofensywę „ostatniej szansy" w Ardenach, feldmarszałek von Rundstedt z rozpaczą odnotował, że mimo desperackich starań zgromadzono zasoby paliwa na ledwie pięć dni intensywnych działań bojowych. Potem zamierzano je zdobywać na wrogu.

Jedynie Hitler i nieliczni fanatycy nie chcieli przyjąć do wiadomości, że III Rzesza jest skończona. Jednak chwila ta nadeszłaby dużo szybciej, gdyby zamiast siania terroru dla ok. 1,3 mln t bomb zrzuconych na Niemcy wybierano właściwe cele. ©℗

Więcej tekstów tego autora Skanuj kod! DGP.pl

Kultura

Postęp, który zabierze nam wszystko



Zbawienie przez automatyzację: nic już nie trzeba będzie robić, manna sama spadnie z nieba. Ten, kto temu zaprzecza, jest wstecznikiem, zwolennikiem irracjonalizmu, komunistą. Jest luddystą

Piotr

Kofta

Nie wiem jeszcze, kiedy to się stanie, ale niewykluczone, że za jakiś czas przestanę być potrzebny jako autor – słowa wygeneruje AI, pożarłszy i przetrawiwszy uprzednio wszystkie zdania i akapity, które kiedykolwiek mi wydrukowano. Oczywiście nasuwa się pytanie, kto będzie chciał czytać teksty napisane przez automat, lecz to pytanie jest nieistotne: tyle zdołaliśmy już przełknąć, że przełkniemy wszystko. Zostaliśmy wychowani, ukształtowani i wytresowani, żeby – jako społeczeństwa – wyrazić zgodę na każdą niecną zagrywkę cyfrowych gigantów. Opór złamano, nim w ogóle zdołał zaistnieć.

Białko jest za drogie

Wielkie korporacje o bilionowych wycenach ładują wszystko, co mają, w kolejne pokolenia modeli AI i monstrualne serwerownie o spożyciu prądu na poziomie niektórych mniejszych państw nie tylko dlatego, że prowadzą między sobą wyścig o dominację. Chodzi też, oczywiście, o to, że automatyzując pracę, można znacząco poprawić jej wydajność, oszczędzając zarazem na czynniku, nazwijmy to, białkowym: maszyny nie odchodzą na urlop macierzyński, nie chorują, nie śpią, nie potrzebują funduszu emerytalnego, nie zakładają związków, nie strajkują. Nie potrzebują nawet światła – mogą funkcjonować 24 godziny na dobę w zaciemnionej fabryce. Po co nam biura, skoro wszystko można w ułamku sekundy załatwić na serwerze? Po co dziennikarze, pisarze, aktorzy? A jeśli już dawać pracę jakimś białkowcom – to po diabła im etat, skoro można ich zaprząc do kieratu sterowanego przez algorytm? Obecnie dotyka to taksówkarzy, kurierów i magazynierów, lecz spokojnie, jest to ledwie okres próbny nowego systemu zatrudnienia.

Innymi słowy, nie należy się spodziewać, że świat się zatrzyma i uwzględni nasze smuteczki. Żadna rewolta nie nastąpi, bo nikt w dłuższej perspektywie nie zaryzykuje rynkowego wykluczenia. Logika kapitalizmu (szerzej: logika elitarystycznej zachłanności) jest tu kategoryczna, choć w rezultacie doprowadzi zapewne do wielowymiarowej katastrofy: społecznej, demograficznej, gospodarczej, ekologicznej. W zasadzie już doprowadziła, lecz żaba wciąż nie została jeszcze wystarczająco podgrzana, by poczuć, że się gotuje. Żaba jest zresztą głupia jak but: zagrożenie widzi w imigrantach, rowerzystach, wegetarianach i prawach kobiet, daje się wpuszczać w maliny nacjonalistycznych emocji, plecie coś o wolności od podatków, państwowej opresji i o tym, że klimat przecież się nie zmienia; zmanipulowana przez media społecznościowe nie dostrzega, kto w istocie pilnuje palnika pod garnkiem.

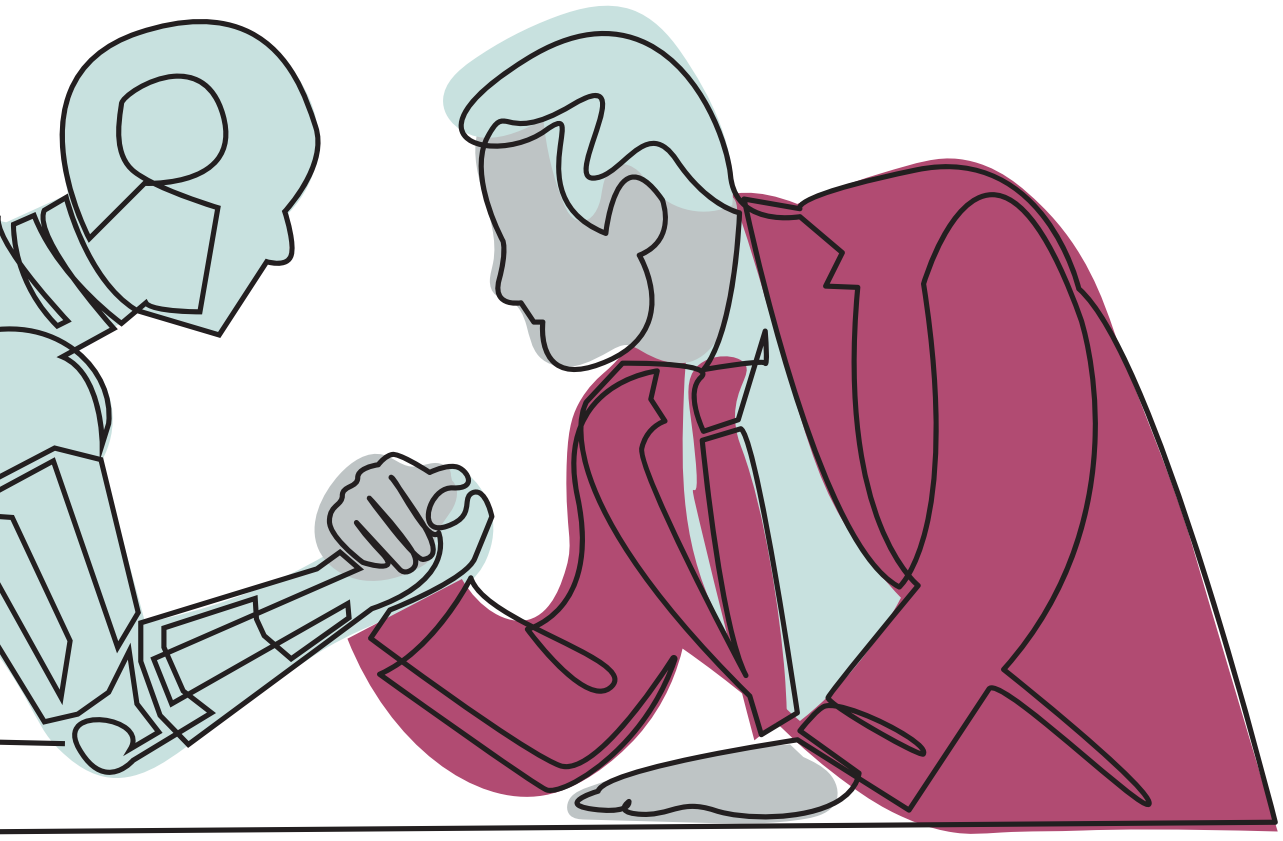
Jest tak po części dlatego, że korporacje lubią uchodzić za szermierzy postępu. A postęp to złoty cielec naszej epoki. Fragment mesjanistycznego, postreligijnego dyskursu. Zbawienie przez automatyzację: nic już nie trzeba będzie robić, niczego się uczyć, o nic starać, a manna sama spadnie z nieba. Będziemy żyć wiecznie, w zdrowiu i szczęśliwości. Kto temu zaprzecza, jest wstecznikiem, zwolennikiem irracjonalizmu, komunistą. Jest luddystą.

Popularniejsi od Robina Hooda

Tak się bowiem składa, że już to wszystko przerabialiśmy. „Wyobraźmy sobie miliony całkiem zwyczajnych ludzi ogarniętych lękiem przez niepowstrzymanym rozwojem technologii. Niepokoją się, że maszyny odbiorą im pracę, pozbawią aktualnej pozycji, zagrożą przyszłości i postawią na głowie całe ich życie. Nierówności społeczne przybierają na sile, zaś władza spoczywa w rękach bogaczy, będących zarazem dysponentami nowych rozwiązań technologicznych. Wszelkie znaki na niebie i ziemi zwiastują rychłą rewolucję, która wywróci społeczny i ekonomiczny porządek świata" – pisze Brian Merchant w książce „Krew w maszynie. Luddyści i pierwszy bunt przeciwko technologicznym gigantom". „Sytuacja [ta] równie dobrze mogłaby wydarzyć się dzisiaj. Lub dwieście lat temu, u zarania rewolucji przemysłowej".

„Krew w maszynie" to wprawdzie rzecz sprzed paru lat (u nas wydana rok temu), ale trudno o bardziej aktualną lekturę. Merchant opisuje wydarzenia, które miały miejsce w Anglii w latach 1811–1812, gdy presja automatyzacji zdemolowała tradycyjne branże tkactwa i dziewiarstwa (zatrudnienie znajdowało w nich wówczas 10 proc. aktywnych zawodowo mieszkańców!), co spotkało się z oporem, a w rezultacie kraj – prowadzący wówczas przecież równolegle wojnę z napoleońską

eprasa.pl 05b73191d3



FOT. DODOMO/SHUTTERSTOCK

Historia jednego słowa i wielu wyborów

Czy Odys był skomplikowany? Tak twierdzi reżyser „Odysei", idąc tropem tłumaczki poematu. Greckie słowo „polutropos" niesie za sobą wiele znaczeń, a debat na jego temat mogłoby być tyle, ile o całej ekranizacji Nolana

Katarzyna

Kostecka

Ekranizacja „Odysei" w reżyserii Christophera Nolana podbiła letnie kina oraz skłoniła do dyskusji o Homerze zarówno amatorów antyku (a czasem nowo narodzonych „ekspertów"), jak i środowisko akademickie. Szczególnie głośno wybrzmiała krytyka filmu napisana w „London Review of Books" przez Emily Wilson, autorkę świeżego angielskiego tłumaczenia „Odysei" z 2017 r. Wilson kąśliwie zauważała, że film podobał się jej nastoletnim dzieciom, a bardziej serio zarzucała Nolanowi powierzchowność psychologiczną i polityczną, nieoddanie humoru i seksualności obecnych w „Odysei" oraz spłaszczenie postaci kobiecych.

Ta krytyka mogła być dla Nolana bolesna, ponieważ sam reżyser twierdził, że tłumaczenie Wilson, które zwraca uwagę na moralną ambiwalencję herosa, mocno na niego wpłynęło. Jako szczególną inspirację wspominał jej przekład jednego z pierwszych wersów „Odysei": „Tell me about a complicated man" („Opowiedz mi o człowieku skomplikowanym"). Tu dodajmy, że nieco złośliwie Wilson zatytułowała swoją recenzję filmu „An Uncomplicated Man".

Ale właśnie: skomplikowany Odyseusz. Tak Wilson tłumaczy greckie słowo „polutropos". Słowo bardzo ciekawe i niosące ze sobą wiele znaczeń, a debat na jego temat mogłoby być tyle, ile o całej ekranizacji Nolana. ▷

Francją – stanął na krawędzi krwawego bratobójczego konfliktu.

„Niewielka, ale wciąż rosnąca grupa przemysłowców odebrała rękodzielnikom zajęcie – któremu oni od pokoleń oddawali się pospołu z rodziną we własnych domach lub niewielkich zakładach, sami będąc sobie panami – zautomatyzowała proces produkcji i zamknęła go w murach fabryk. Pracownikom objawiła się wizja (...), w której w szkodliwych dla zdrowia warunkach tyrają długie godziny przy maszynie, harując na dobrobyt nie swój, lecz właściciela fabryki. Oczywiście jeśli ktoś ich w ogóle zatrudni"– relacjonuje Merchant. „(...) Robotnicy uważali, że korzystanie z maszyn, «by odjąć człekowi chleb od ust», było zwyczajnie złe i dlatego potężny, pozbawiony centralnego kierownictwa ruch ukierunkowany na niszczenie maszyn porwał tysiące ludzi. Społeczeństwo kibicowało tym buntownikom, przez jakiś czas byli oni nawet popularniejsi od Robina Hooda, nie wspominając o znacznie większym wpływie na rzeczywistość. Nazywano ich luddystami".

Wiemy skądinąd, że bunt ów finalnie miał na koncie pewne sukcesy – zapoczątkował myślenie w kategoriach praw pracowniczych, stanowiąc zbrojne protozwiązki zawodowe. Ponieważ historię piszą zwycięzcy, luddyści mieli jednak w kolejnych dekadach i stuleciach marną prasę: przedstawiano ich jako prymitywów, dzikusów, terrorystów i fanatyków. Merchant pokazuje, że sprawy miały się z gruntu odwrotnie – być może nigdy wcześniej robotnicy, mający przecież wielusetletnie doświadczenia cechowe, nie byli tak głęboko samoświadomi swoich praw oraz fatalnej sytuacji, w którą się ich wtłacza pod przymusem. Czy tę Wisłę (bądź Tamizę) dało się zawrócić kijem? Z całą pewnością nie – w grę wchodziły zbyt wielkie fortuny i strefy wpływów, państwo zaś, po paraliżującym doświadczeniu rewolucji francuskiej i pogrążone w strachu przed ludowym przewrotem, było zainteresowane nie reformami, lecz kontrolowanym dokręcaniem śruby klasom niższym. W książce Merchanta widać jednak jak na dłoni owe mechanizmy ekonomiczne i polityczne, owe wzorce eksploatacyjnego myślenia, z którymi również dziś się borykamy.

Przeklęty system fabryczny

Warto na moment zatrzymać się przy tym, w jaki sposób „Krew w maszynie" jest skonstruowana, bo to kawał dobrej roboty. Merchant podzielił potężne tomiszcze (prawie 600 stron z przypisami, bibliografią i indeksem) na krótkie rozdziały przypisane konkretnym pierwszo- i drugoplanowym dramatis personae. W ten sposób udało mu się nadać tekstowi dynamikę, a także skłonić czytelnika, aby śledząc losy tych postaci, traktował książkę niemal jak powieść non fiction.

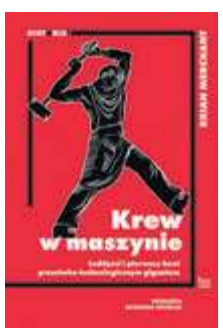
Dramaturgizowanej narracji towarzyszą fragmenty eseistyczne, rozważające temat w szerszym ujęciu historycznym, filozoficznym i ideologicznym. Taka struktura pozwala autorowi również na sensowne dygresje: o amerykańskim systemie niewolniczym (który sprzęgł się ekonomicznie z brytyjskim przemysłem tekstylnym, stosując jeszcze bardziej przerażające praktyki wobec siły roboczej), o mechanizmach władzy, o luddystycznym folklorze (generał Ned Ludd, przywódca rebelii, najpewniej był postacią fikcyjną – ale jakże wiele wspaniałych pieśni o nim napisano), o roli intelektualistów w publicznym dyskursie (bardzo ciekawe uwagi na temat Lorda Byrona), wreszcie: o zapomnianym kontekście powstania „Frankensteina" Mary Shelley (a jest to przecież rzecz o przełomowym wynalazku w rękach złych ludzi).

Właściwie to Merchant pokazuje początki gospodarczej nowoczesności, przede wszystkim systemu fabrycznego – którego przecież nie przychodzi nam dziś do głowy kwestionować. Tymczasem 200 lat temu wywoływał on powszechny, zrozumiały niepokój. „Niektórzy przekonują, że obiektem nienawiści luddystów i celem ich ataków była maszyneria, czy też technologia, lecz w rzeczywistości co innego budziło ich wściekłość: system fabryczny, bez którego problem maszyn by nie zaistniał. To nie draparka, szeroka maszyna dziewiarska czy krosno mechaniczne budziły ich trwogę i gniew – lecz wykreowana w fabryce metoda podporządkowywania sobie robotników" – pisze autor.

Nasza sytuacja nie jest, rzecz jasna, identyczna, niemniej jest podobna: marzenia o wyciągnięciu wtyczki z kontaktu są wywoływane nie przez samą w sobie cywilizację cyfrową, lecz przez multimiliardowych technologów przyszłości – przyszłości, którą nam szykują. ©℗

Brian Merchant

„Krew w maszynie. Luddyści i pierwszy bunt przeciwko technologicznym gigantom", przeł. Grzegorz Ciecieląg, Bo.Wiem/ Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2025



eprasa.pl 05b73191d3

Wiele wątków naraz

Grecka „Odyseja" mieści w sobie mniej więcej 121 tys. słów. Czemu to jedno ma tak duże znaczenie? Otóż to właśnie tym słowem Homer po raz pierwszy w poemacie przedstawia nam Odyseusza. A tak naprawdę komentuje też całą opowieść o nim i określa siebie jako poetę.

Przyjrzyjmy się temu dokładniej. Idąc za tłumaczeniem Parandowskiego, „Odyseja" zaczyna się od tych słów: „Męża głoś, Muzo, wielce obrotnego (polutropos), który zburzył święty gród Troi, a potem wiele wędrował, widział miasta ludzi tak wielu i ducha ich poznał".

„Polutropos" to niejedyny epitet, którego Homer używa, by opisać Odyseusza. W „Odysei" i „Iliadzie" pojawia się wiele innych, m.in. „dios" („boski"), „Diogenes" („pochodzący od Zeusa") czy „poluphron" („wielce rozumny", „rozważny"). Wybór akurat tego epitetu na samym początku poematu nie jest więc przypadkowy.

Co dokładnie znaczy „polutropos"? Pierwsza część jest prosta: „polu" znaczy „wiele". Z drugą jest trochę trudniej (i ciekawiej), bo pole znaczeniowe otwiera się szeroko. „Tropos" znaczy „wątek", „droga", „zwrot", „ścieżka", „strona", „charakter", „zwyczaj", „sposób" i wiele innych.

Wieloznaczność jest siłą tego słowa w poemacie i intuicyjnie wyczuwamy, jak świetnie pasuje ono do historii Odyseusza. W poemacie Homera bohater opowiada wiele historii, wiele z nich (a może wszystkie? Tu odsyłam do najnowszej książki Marka Węcowskiego) kłamliwych. Przedstawia się fałszywymi imionami (jak wtedy, gdy mówi Cyklopowi, że ma na imię Nikt) i zapożycza cudze historie. Jest człowiekiem, który doskonale wie, jak na różne sposoby przechytrzyć innych, i używa podstępu, by po długiej podróży dostać się z powrotem do Itaki.

Jest jeszcze jeden aspekt słowa „polutropos", na który ciekawie zwraca uwagę Emily Wilson. „Polutropos" to określenie, którego Grecy używali nie tylko do opisania człowieka, lecz także podróży i poezji. To świetnie pokazuje, co to słowo robi na początku „Odysei": poematu o bardzo złożonej strukturze, który krąży między różnymi bohaterami, opowieściami i czasami; poematu o bardzo trudnej, prowadzącej częściej do tyłu niż do przodu podróży; poematu o człowieku, który wciąż na nowo wymyśla, kim jest.



FOT. ALBUM ONLINE/EAST NEWS

Matt Damon w „Odysei" Christophera Nolana

Który język jest najobrotniejszy

Aby nieco lepiej zrozumieć znaczenie terminu „polutropos", wystarczyło nam kilka akapitów. Przed tłumaczem stoi zadanie dużo trudniejsze: jak te akapity zmieścić w jednym słowie (lub przynajmniej w nie więcej niż kilku).

A to tylko jedna z trudności. „Odyseja" była pisana heksametrem, czyli sześciostopowym wersem o charakterystycznym rytmie. Nie wszyscy tłumacze próbują oddać rytm „Odysei" (Parandowski np. przekłada ją prozą), ale niektórzy tak, stosując podobne metrum sześciostopowe lub pentametr. Mówiąc prościej, tłumacze muszą się wpasować nie tylko w sens oryginału, lecz także w odpowiedni rytm.

Tłumacz musi wreszcie dokonać kluczowego wyboru: czy chce próbować jak najwierniej oddać dosłowne znaczenie oryginalnych słów (a może nawet podkreślić językiem archaiczność czy „inność" języka, a zatem i świata Homera)? Czy raczej decyduje się użyć słów zrozumiałych dla współczesnych odbiorców, dając im tym samym doświadczenie bliższe temu, jakie mieli słuchacze Homera? Przecież dla Greków „polutropos" nie brzmiałoby obco.

Jak wracający herosi spod Troi, tak tłumacze szli w bardzo różne strony. Spójrzmy najpierw na polskie przekłady. U Wittlina z 1924 r. Odyseusz jest „wielce bywały", u Parandowskiego „wielce obrotny". Co ciekawe, właśnie nad angielskim odpowiednikiem „versatile" Wilson również się zastanawiała, choć ostatecznie wybrała „complicated". W nowszych tłumaczeniach: u Chodkowskiego znajdziemy „wielobieżnego" Odyseusza, w przekładzie Libery „przemyślnego", a wydane w sierpniu tego roku tłumaczenie Anny Maciejewskiej wraca do „obrotnego" Odysa.

W angielskich tłumaczeniach rozstrzał jest dużo większy. Przynajmniej jeśli chodzi o liczbę użytych słów. Mamy więc tłumaczy, którzy woleli zostać przy jednym słowie: u Ogilby'ego z 1669 r. Odyseusz jest „prudent" („rozważny"), u Butlera z 1900 r. „ingenious" („pomysłowy", „wynalazczy"). Ale są i tacy, którzy pozwalali sobie na krótkie opisy. Lawrence w 1932 r. nazywa Odyseusza „the various-minded man" (mąż o wielu myślach/o wielowątkowym umyśle), Lattimore w 1967 r. „the man of many ways" („człowiek wielu dróg/sposobów"), a Fitzgerald w 1961 r. „that man skilled in all ways of contending" („mąż biegły we wszelkich sposobach zmagania się").

Zwróćmy uwagę, że polskim tłumaczom zwykle wystarczało jedno słowo, by spróbować się zbliżyć do wieloznaczności oryginału. Być może ma to coś wspólnego z możliwościami samego języka: polszczyzna stosunkowo łatwo tworzy neologizmy i nowe złożenia, które szybko stają się dla nas zrozumiałe i mogą brzmieć całkiem naturalnie.

Wróćmy do tłumaczenia Wilson, które tak zainspirowało Nolana. Jak doszliśmy od wielu wątków czy dróg do „skomplikowania"?

Wilson nie wybrała tego słowa przypadkowo. Na swoim popularnym Substacku daje pokaźną listę rozważanych i odrzuconych możliwości (wśród nich, nie całkiem na serio, znalazło się nawet „willy-nilly"). Ostateczny wybór argumentuje tym, że „complicated" odwołuje się do wielu aspektów obecnych w „polutropos": wielości, splątania, zwrotów i kontrastów. Nie jest neologizmem, jest słowem jasnym i zrozumiałym, a jednocześnie wieloznacznym. Dobrze wpisuje się też w rytm jej przekładu, napisanego pentametrem jambicznym. Ma cztery sylaby, jak oryginał.

eprasa.pl 05b73191d3



cę, który chce uciec od samego siebie, lecz w końcu konfrontuje się z cierpieniem, które wyrządził innym.

„Polutropos" jako deklaracja

Tak jak u Homera użycie słowa „polutropos" stanowi zarysowanie postaci Odyseusza i charakteru całego poematu, tak wybór Wilson (nawet jeśli tłumaczka odżegnuje się od nadmiernie psychologicznych interpretacji) jest rodzajem deklaracji translatorskiej. Tłumacząc „polutropos" jako „complicated", kieruje uwagę czytelnika ku wielowarstwowości bohatera i samego utworu. Wilson sama mówi, że zależało jej, by wydobyć złożoność i żywość bohaterów z „Odysei", a zarazem stara się pisać językiem prostym, przejrzystym i dobrze brzmiącym. Wielokrotnie podkreślała, że chciała stworzyć tłumaczenie, które dobrze będzie czytać głośno; tak by czytelnik mógł jak najbardziej się zbliżyć do tego, jak utwór był odbierany w kulturze oralnej.

Tłumaczenie „polutropos" to jeden z tysiąca wyborów, mniejszych i większych, jakich dokonują tłumacze: od dużych decyzji, takich jak to, czy pisać prozą, czy nie (Parandowski wybrał prozę), czy zachować oryginalną liczbę wersów (Wilson ją zachowała), czy tworzyć neologizmy oddające specyfikę greki, czy trzymać się słów znanych czytelnikom, po pozornie małe kwestie, takie jak to, jak przetłumaczyć fakt, że Helena mówi o sobie „kunoopis" („psiooka"), co dziś może wywoływać u czytelników konsternację. Czy gardzi sobą, czy chce wskazać na to, jak źle była traktowana?

Nie ma idealnych tłumaczeń. Każde z nich to seria decyzji, które coś zabierają oryginalnemu poematowi lub dodają do niego coś, co nie do końca w nim było. Ale to też ich siła. Jak zauważa Marek Węcowski, każda epoka ma swojego Homera. Dawne teksty żyją na nowo, ponieważ dostrzegamy w nich coś, co umknęło poprzednim pokoleniom, a co silnie rezonuje z naszymi czasami. Pytana o specyfikę swojej perspektywy jako kobiety, Wilson słusznie odpowiada, że tłumacze mężczyźni nie są pytani o specyfikę swojej męskiej perspektywy. Prawda jest taka, że nikt od własnej perspektywy nie ucieknie. Każdy z nas jest w jakiś sposób „skażony" światem, w którym żyje, oraz własnym doświadczeniem. Każde tłumaczenie (tak jak każda ekranizacja) to nowa „Odyseja".

Zainteresowanych Homerem i tym, jak wybrzmiewa dziś, odsyłam do książki „Homer na nasze czasy" Marka Węcowskiego, a zainteresowanych trudnymi wyborami tłumaczy tekstów starożytnych – do wydanej w czerwcu (na razie po angielsku) książki Emily Wilson „Crossing the Wine Dark Sea". ©℗

I, co kluczowe, „complicated" można, podobnie jak „polutropos", odnieść nie tylko do człowieka, lecz także do podróży i do poematu.

Krytycy zwracają uwagę, że „complicated man" brzmi bardzo współcześnie i niesie za sobą skojarzenia psychologiczne, których nie da się bezpośrednio przypisać Homerowi. Sama Wilson zauważa problem anachroniczności, jednak broni swojego wyboru, wskazując, że „complicated" jest słowem regularnie używanym od XVII w. i pozwala zachować ważną wieloznaczność oryginału. Z pewnością jednak to właśnie odwołanie do współczesnej siatki skojarzeń mogło być tak atrakcyjne dla Nolana, który chciał pokazać Odysa nie tylko jako herosa pokonującego przeciwności sprytem, lecz także jako dowód-



FOT. MAT. PRASOWE

Katarzyna

Kostecka

historyczka, edukatorka i ilustratorka. Ukończyła doktorat z historii na Uniwersytecie Warszawskim pod kierunkiem Marka Węcowskiego; w swojej pracy badała, w jaki sposób grecka elita budowała tożsamość przez opowieści o mitycznych przodkach. Laureatka konkursu Preludium

KOMUNIKAT

Wyciąg z ogłoszenia

o IV ustnym przetargu nieograniczonym na sprzedaż prawa własności kompleksu nieruchomości obejmującego niezabudowane działki nr: 52, 53, 54, 559, 560 oraz działkę nr 56, obręb Ligota Zabrska, położonego w Gliwicach przy ul. św. Jacka.

PREZYDENT MIASTA GLIWICE INFORMUJE,

że na tablicy ogłoszeń Urzędu Miejskiego w Gliwicach, przy ul. Zwycięstwa 21 (parter) i ul. Jasnej 31A (parter), na stronie internetowej miasta (gliwice.eu) oraz w Biuletynie Informacji Publicznej (bip.gliwice.eu) zostało podane do publicznej wiadomości ogłoszenie o III ustnym przetargu nieograniczonym na sprzedaż prawa własności kompleksu nieruchomości obejmującego niezabudowane działki nr: 52, 53, 54, 559, 560 oraz działkę nr 56, obręb Ligota Zabrska, położonego w Gliwicach przy ul. św. Jacka. Ponadto, wyciąg z ogłoszenia został zamieszczony w prasie lokalnej („Miejskim Serwisie Informacyjnym – Gliwice") oraz w prasie ogólnopolskiej („Dzienniku Gazecie Prawnej").

I ustny przetarg nieograniczony odbył się 3 marca 2026 r. i został zakończony wynikiem negatywnym.

II ustny przetarg nieograniczony odbył się 26 maja 2026 r. i został zakończony wynikiem negatywnym.

III ustny przetarg nieograniczony odbył się 31 sierpnia 2026 r. i został zakończony wynikiem negatywnym.

1. **Dane ewidencyjne:** działka nr: 52 o pow. 0,2151 ha, identyfikator nr 246601_1.0030.52, użytek: Ba – tereny przemysłowe. Działka nr: 53 o pow. 0,1151 ha, identyfikator nr 246601_1.0030.53, użytek: Ba – tereny przemysłowe (0,0298 ha), Bz – tereny rekreacyjno-wypoczynkowe (0,0853 ha). Działka nr 54 o pow. 0,1439 ha, identyfikator nr 246601_1.0030.54, użytek: Ba – tereny przemysłowe (0,0342 ha), Bz – tereny rekreacyjno-wypoczynkowe (0,1097 ha). Działka nr 559 o pow. 0,0156 ha, , identyfikator nr 246601_1.0030.559, użytek: Dr – drogi. Działka nr 560 o pow. 0,0105 ha, identyfikator nr 246601_1.0030.560, użytek: Dr – drogi. Działka nr 56 o pow. 0,5097 ha, identyfikator nr 246601_1.0030.56, użytek: Ba – tereny przemysłowe.
2. **Położenie i opis:** przedmiotowe działki położone są w Gliwicach przy ul. św. Jacka. W sąsiedztwie znajduje się zabudowa usługowa, tereny zadrzewione, cmentarz i ogródki działkowe. Nieruchomości stanowią teren nierówny, zadrzewiony, niezagospodarowany. Na działce nr 56 znajdują się pozostałości po fundamentach. Przez dz. nr 52, 53, 54 przebiega sieć gazowa gaD350 oraz nieczynny gazociąg gAD300. Wzdłuż ul. św. Jacka na dz. nr 52, 53 oraz w południowej części dz. 54 znajduje się sieć elektroenergetyczna. Na dz. 52 znajduje się punkt oświetleniowy, który nie jest wpięty do miejskiej sieci oświetleniowej. Przez południową część dz. nr 53 przebiega sieć telekomunikacyjna. Przez dz. nr 56 przebiega sieć wodociągowa wID80. Wszelka planowana zabudowa na tych działkach powinna uwzględniać strefy ochronne od ww. sieci i powinna być uzgodniona z gestorami tych sieci. Wzdłuż ulic św. Jacka i Pszczyńskiej przebiegają sieci: wodociągowa, kanalizacyjna, telekomunikacyjna, elektroenergetyczna, gazowa. Warunki techniczne podłączenia do sieci uzbrojenia terenu oraz możliwość zapewnienia dostawy mediów określą dysponenci sieci na wniosek i koszt nabywcy nieruchomości.

   Odwodnienie terenu w gestii przyszłego nabywcy. Przy granicy dz. 53 przebiega rów przydrożny, który stanowi system odwodnienia przedmiotowych działek oraz pobliskich terenów, dlatego przyszły nabywca nie może go zasypywać.

   Dział IV księgi wieczystej prowadzonej dla działek nr 52, 53, 54, 559, 560, obręb Ligota Zabrska, oraz dział III i IV księgi wieczystej prowadzonej dla działki nr 56, obręb Ligota Zabrska, wolne są od wpisów. Obciążenia nieruchomości (KW działek nr 52, 53, 54, 559, 560):

   - nieograniczona w czasie służebność drogi – przechodu i przejazdu po dz. 560, 559, 53, 54, obręb Ligota Zabrska, na rzecz każdoczesnych właścicieli i użytkowników wieczystych dz. nr 55, obręb Ligota Zabrska.

   Skomunikowanie kompleksu powinno odbywać się z włączeniem nowym zjazdem do drogi publicznej powiatowej ul. św. Jacka (droga klasy technicznej L), w miejscu zapewniającym wymagane przepisami prawa warunki widoczności przy wyjeździe ze zjazdu na drogę publiczną (warunek konieczny) oraz w miejscu znajdującym się poza obszarem oddziaływania skrzyżowania ulic Pszczyńskiej/św. Jacka (potencjalny zjazd z uwagi na charakter docelowej inwestycji będzie pełnił funkcję zjazdu publicznego). Realizacja inwestycji winna zostać poprzedzona złożeniem wniosku do Zarządu Dróg Miejskich w Gliwicach.

   Działki nr 56, 560, 559, obręb Ligota Zabrska, objęte są umową dzierżawy, zawartą do 30 września 2026 r., z przeznaczeniem pod zaplecze budowy oraz dojazd.
3. **Przeznaczenie nieruchomości i sposób jej zagospodarowania:** zgodnie z zapisami miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego Miasta Gliwice (uchwała nr LV/1162/2024 Rady Miasta Gliwice z dnia 21 marca 2024 r., Dz. Urz. Woj. Śląskiego z 2024 r., poz. 2561) działki położone są na terenie oznaczonym: 2U/UC – co oznacza: tereny zabudowy usługowej oraz rozmieszczenia obiektów handlowych o powierzchni sprzedaży powyżej 2000 m^2, gdzie:
   1) przeznaczenie podstawowe to: usługi, usługi handlu o powierzchni sprzedaży powyżej 2000 m^2.
4. **Cena wywoławcza brutto: 4 587 000,00 zł.** Cena zawiera 23% podatek VAT zgodnie z ustawą z 11 marca 2004 r. o podatku od towarów i usług (t.j. Dz.U. z 2025 r., poz. 775 ze. zm.). Minimalne postąpienie: 45 870,00 zł.
5. **Wadium: 458 700,00 zł** należy wnieść do 16 listopada 2026 r. Datą wniesienia wadium jest data uznania na rachunku bankowym Miasta Gliwice.
6. **Termin i miejsce przetargu: 23 listopada 2026 r. o godz. 10.00,** siedziba Wydziału Gospodarki Nieruchomościami Urzędu Miejskiego w Gliwicach, ul. Jasna 31A, sala 105 (I piętro).
7. Podpisanie notarialnej umowy kupna-sprzedaży nastąpi do 23 grudnia 2026 r.

Dodatkowe informacje na temat warunków przetargu można uzyskać pod numerami tel. 32/338-64-12, 32/338-64-41.

eprasa.pl 05b73191d3



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Jak wielki pożar stworzył londyńskie City

Rafał Woś

Centrum Londynu spłonęło doszczętnie 360 lat temu. Ślady tamtej tragedii widać do dziś. Zwłaszcza w tkance ekonomicznej.

Wielki pożar wybuchł dokładnie 2 września 1666 r., ogień najpierw pojawił się przy Pudding Lane, małej uliczce niedaleko Tamizy, oraz London Bridge. Było to w samym sercu City – najstarszej i najgęściej zaludnionej części miasta. Drewniane domy stały tam blisko siebie, czasem jeden na drugim. Na dodatek sąsiadowały z magazynami, w których gromadzono towary przywożone i wywożone z angielskiej stolicy szlakiem morskim. Często była to bawełna, która podsycała ogień. W ciągu pięciu dni miasto doświadczyło największej tego typu katastrofy w dziejach. Nawet niemieckie naloty z czasów II wojny były niczym w porównaniu z tamtym wrześniem. Spłonęło niemal całe City – kilkanaście tysięcy domów, w których mieszkało przed pożarem ok. 100 tys. ludzi. Z dymem poszła katedra św. Pawła, 84 ze 113 kościołów parafialnych i 44 z 51 potężnych central cechowych, siedzib ówczesnych korporacji.

Dalsze dzieje Londynu pokazują, że z każdej – nawet największej – katastrofy da się pozbierać. Anglia (potem Wielka Brytania) oraz jej stolica będą w kolejnych wiekach rosły w siłę, stając się już 150 lat później centrum kapitalistycznego świata. Nowa, ciekawa analiza historyków Philipa Agera (Uniwersytet w Mannheim), Mai Pedersen (Uniwersytet Południowej Danii), Paula Sharpa (Uniwersytet Południowej Danii) i Xanthi Tsoukli (Uniwersytet w Bambergu) pokazuje, że wielka tragedia z 1666 r. miała bardzo poważne ekonomiczne konsekwencje. Widoczne do dziś w tkance londyńskiej metropolii oraz w całym brytyjskim modelu ekonomicznym.

Najważniejsza konsekwencja jest taka, że to wtedy powstało londyńskie City. W tym znaczeniu, które ma dziś. Przed pożarem było to serce średniowiecznego miasta – otoczone murami i gęsto zaludnione, o bardzo różnorodnym składzie społecznym: od biedoty, przez drobny handel i małą wytwórczość, aż po wielkie magazyny oraz duży biznes importowo-eksportowy i warsztaty zamożnych rzemieślników zrzeszonych w gildiach. To wszystko spłonęło.

A gdy pożar ugaszono i zdecydowano się na odbudowę, pierwsi do centrum zaczęli wracać ludzie majętni. Bo dysponowali większymi zasobami potrzebnymi do tego, by sfinansować odbudowę domów, składów i warsztatów. Wśród powracających na plan pierwszy wysunęli się dysponujący nadwyżkami płynnego kapitału złotnicy. Trzeba wszak pamiętać, że złotnik był w okresie średniowieczno-renesansowym kimś więcej niż tylko rzemieślnikiem produkującym tiary i pierścienie. Dysponując dużymi ilościami cennych kruszców, pełnili oni rolę pierwszych bankierów i pożyczkodawców. Złoto-srebrne zabezpieczenie umożliwiało im łatwą emisję papierów wartościowych i prywatnych banknotów. To sprawiało, że złotnicy byli w posiadaniu środków i mogli z ich pomocą finansować odbudowę Londynu.

I to właśnie wówczas rozgościli się oni w londyńskim City. Gdy w 1694 r. powstał Bank Anglii, też był ulokowany w City. Nieprzypadkowo. Pierwszy na świecie publiczno-prywatny bank centralny, zajmujący się pożyczaniem pieniędzy królowi i emisją państwowych banknotów, powstał tam, gdzie działały już od czasu wielkiego pożaru instytucje złotniczo-bankierskie, zaczyn nowoczesnego systemu finansowego. To z jego pomocą angielska klasa przedsiębiorców finansowała inwestycje w przemysł, handel i logistykę, z których urodził się nowoczesny kapitalizm.

A biedniejsi Londyńczycy? Co się z nimi stało po pożarze? Oni musieli ruszyć gdzieś indziej. Ci zamożniejsi ciążyli w kierunku zachodu – tam znajdowała się położona poza murami dzielnica Westminster, gdzie już wcześniej koncentrowało się życie polityczne Anglii i gdzie arystokraci budowali podmiejskie rezydencje w Chelsea czy Kensington. Biedota ruszyła zaś na wschód od dawnych murów miejskich. I to tam wyrosła w ciągu następnych dwóch stuleci ów dickensowski Londyn z takimi dzielnicami jak owiana mroczną sławą Kuby Rozpruwacza Whitechapel. I jeszcze dalej, gdzie w XIX stuleciu będą się rozwijać przemysł oraz doki.

Dopiero znacznie później londyński moloch zaczął się rozciągać na osi północ–południe. Też wedle klucza dochodowego. Ale to już jest zupełnie inna historia. ©℗

Autor jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność”

Największe muzeum we Wszechświecie

Z powodu dołującej demografii nasze wnuki nie będą kolonizować Marsa, zamiast tego będą z trudem starały się utrzymać to, co stworzyliśmy my. Przestaniemy być cywilizacją odkrywców, a staniemy się jednym wielkim muzeum

Karol Bednarski

Autor jest ekonomistą GRAPE

Jeszcze 10–20 lat temu wiele mówiono o przeludnieniu Ziemi. Przyrost ludności w Afryce czy Indiach miał doprowadzić do braków wody, żywności, paliwa i innych zasobów. Jednak obecnie dynamika wzrostu populacji wyraźnie spowolniła. W wielu krajach zbliża się do granicy zastępowalności pokoleń lub już jest poniżej – jak np. w Polsce. Co więc, jeśli końcem naszej cywilizacji nie będzie „zapadnięcie się” pod ciężarem ludności, lecz powolne wymieranie?

Ekonomista Charles I. Jones (Uniwersytet Stanforda) stawia bezlitosną tezę: jeśli populacja świata zacznie się kurczyć, być może nasza cywilizacja nie tylko przestanie się rozwijać, ale wręcz zacznie się zwijać. Na podstawie danych makroekonomicznych i demograficznych zbudował model, w którym jednym z najważniejszych źródeł wzrostu gospodarczego są ludzie. Zdaniem Jonesa: im większa populacja, tym więcej potencjalnych naukowców i inżynierów, którzy rozwijają technologie kluczowe dla dalszego rozwoju. Działa tu prosta statystyka: im nas więcej, tym więcej Einsteinów i Pasteurów.

Co się stanie, kiedy liczba naukowców zacznie się kurczyć? Jones stawia nas przed dwoma scenariuszami. Pierwszy z nich to „Rozszerzający się kosmos”. To scenariusz, w którym trwamy od ok. 200 lat. Następuje w nim trwały wzrost populacji, technologii i standardu życia. Drugim ze scenariuszy jest „Pusta planeta”. To pułapka, która zdaniem Jonesa czeka nas, kiedy nasza populacja zacznie spadać. W takim świecie ludzkość zamiast opanować zimną fuzję czy budować reaktory zasilane helem-3, będzie zmuszona przenosić coraz większe środki na opiekę nad seniorami i utrzymanie istniejącej infrastruktury. Innowacje zwyczajnie przestaną być priorytetem, a rozwój naukowy stopniowo zamrze.

Wizja rysowana przez Jonesa nie powinna być rozważana w kategoriach SF. Choć jego dywagacje nie mają charakteru prognozy, to oznaki scenariusza „Pustej planety” są już widoczne. We współczesnej Europie wszystkie państwa mają wskaźnik dzietności poniżej zastępowalności pokoleń. A nawet w Indiach, obecnie najludniejszym kraju świata, dzietność gwałtownie spadła i jest obecnie niedostateczna do utrzymania populacji na stałym poziomie. Z perspektywy ludzkości prawdziwym problemem nie jest więc brak rąk do pracy czy wydolność ZUS-u, tylko malejąca liczba naukowców i inżynierów. Bez nowych pomysłów staniemy się populacją kustoszy, konserwujących jedynie symbole chwały dawnych pokoleń.

Dlaczego ludzkość wpada w pułapkę „Pustej planety”? Dlaczego wolny rynek nie zmieni tej sytuacji? Jones zauważa, że posiadanie dziecka wiąże się z efektami zewnętrznymi: kiedy rodzice decydują się na potomstwo, ważą swoje szczęście z kosztami utrzymania pociechy. Jednak nie uwzględniają w tej kalkulacji korzyści, które dziecko przyniesie całemu społeczeństwu; żaden rodzic nie szacuje bowiem, z jakim prawdopodobieństwem jego pociecha opracuje lek na chorobę Huntingtona. Dlatego indywidualne decyzje rodzin prowadzą do poziomu dzietności, który jest zbyt niski z perspektywy społeczeństwa.

Scenariusz „Pustej planety” nie oznacza nagłej apokalipsy, którą znamy z filmów klasy B. To raczej powolne zamieranie, murszenie pod wpływem spowalniającego rozwoju technologicznego. Bez zmiany kursu nasze wnuki nie będą kolonizować Marsa, zamiast tego będą z trudem starały się utrzymać to, co stworzyliśmy my. Przestaniemy być cywilizacją odkrywców, a staniemy się jednym wielkim muzeum. ©℗

Słuchaj podcastu GRAPE | Tłoczone z danych „Czy grozi nam bezrobocie technologiczne?”

eprasa.pl 05b73191d3